

Może trochę za późno!
Trzebał tej trochę skrócić miejscami
Dziś - srebrną

8.4.91 z Jarosławia

Dobre

W 40r Drohobycz } wiersze
Kijów

Janina Krajdocha

z Przemyśla

Konstów - obł Sumy

Irkuć - Aleksandrowski Central 5.25

Kurów (k. Tajbratu) 5.32 < Obóz? o. 27

29. XI.91 przenie
o uzupełn. J

290

WSPOMNIENIA

WOJENNE

Ciekawe, dobre

290.

Nie myślę o dawnych latach. Nie rozpamiętuję. Żyję dniem dzisiejszym. Ponagliana wiele razy, abym spisała okres wojny, czynię to "z ciężkim sercem". Niewiele pamiętam, nie mam z kim się narodzić, mocno utrwaliły się niektóre sprawy drugorzędne, ale nie do mnie należy ocena. Opiecałam - opisuję.

Myślę, że dobrze jest przedstawić okres wojny w dwu etapach: 1/ więzienie, 2/ pobyt na Syberii i to w ramach ogólnych i w zapamiętanych obrazach.

Wojna zastała mnie w Drohobyczu. Pracowałam w Urzędzie Skrabowym, byłam magistrem praw (U.J.K we Lwowie ukończyłam w r. 1937). Poza pracą ~~biurową~~ miałam pracę harcerską, wtedy bezinteresowną. Byłam hufcową. Miałam około 10 gromad zuchowych i około 7 drużyn harcerskich. Praca na tym odcinku powoli rozwijała się. Do Drohobycza zostałam przeniesiona z Radzuechowa na początku wiosny 1938 roku. Latem 1938 r. był obóz zastępowych, który prowadziła przyszła instruktorka. Zimą 1938/39 zorganizowałam kurs drużynowych gromad zuchowych, kurs- żeńsko-męski. Współpraca z hufcem męskim była ścisła i serdeczna. Klimat był dobry. Hufcowym był Szczepan Michalski, mistrz z "Polminu", ogromnego kombinatu (rafinerii) przetwarzającego ropy naftowej, która płynęła z Borysławia. Przy hufcowym była grupa "starych" - studentów i już pracujących. Latem 1939 r. prowadziłam obóz wędrowny moich drużynowych do granicy węgierskiej (Sianki). W planie miałam być na Węgrzech. Tymczasem zastałam granicę polsko-węgierską zamkniętą. Tylko z druhami węgierskimi wymieniliśmy odznaki, chusty i wyściskaliśmy się, bo o rozmowie nie było co marzyć, mają "cudaczny" język.

Wróciłam na mamy imieniny, to znaczy 2 sierpnia. Mieszkałam z mamą i siostrą na Wojtkowej Górze, przy kościele. Ojciec umarł w listopadzie 1937 r. Leży w Dobromilu - od wojny nie byłam na jego grobie. Nawet nie odnalazłabym grobu, nie miał jeszcze pomnika tylko drewniany krzyż. Leżał na stoku cmentarza. Gdy zamknę oczy, widzę nierówny teren cmentarza i stare, bardzo stare drzewa. Daj mu, Boże, światłość wiekiustą. Był prawym człowiekiem....Gdyby nie umarł, strach pomyśleć co by z nim było.

W wojnę nie wierzyliśmy. Pełni patriotyzmu powtarzaliśmy za rządem "silni, twardzi, gotowi". Przy końcu sierpnia ogłoszono mobilizację. Harcerstwo pełniło służbę w mundurach, z apteczkami, z mas-

kami gazowymi. Jakie byłyśmy radosne. Jakie ważne z pełnienia rozmaitych prac! Pamiętam odprawę hufcowych około 30 sierpnia we Lwowie. Z powodu tłoku trudno było jechać, ale atmosfera jedyna, niepowtarzalna. Pożegnałam Andrzeja na dworcu PKP. Widziałam go po raz ostatni.

1 września atak Niemców na Polskę. Ten atak nie przeraził. Wojna to wojna! Wojsko będzie walczyć, my (harcerze, cywile) będziemy pomagać. Początkowo w czasie nalotów kryłyśmy się do schronów, potem nie sobie z nich nie robiłyśmy. Przecież miałyśmy ważne zadania! I wisiałyśmy przy radiu: 1/ jakie wieści z frontu, 2/ czy idą z pomocą sojusznicy. Wiedziałyśmy dokładnie o paktach z Francją i Anglią; 100-procentowo wierzyłyśmy, że państwa te przyjdą z pomocą. Tymczasem "Blitzkampf" wdarła się do środka Polski, tymczasem Zachód milczała. Nie pojmowałyśmy tego milczenia. Urząd skarbowy został ewakuowany. Jechaliśmy, a potem szliśmy na wschód in grando: p. naczelnik, kierownicy oddziałów, urzędnicy, komornicy, woźni ... kasa - osób około 100. Dołączyły się jeszcze niektóre osoby z rodziny, np. moje 2 siostry. Widziałam wojsko w rozsypani, dezorientowane. Widziałam tłumy cywilów z całym majątkiem na furmance lub na plecach. Ludzie sobie pomagali. Widziałam płonący "Polmin". Mieszkańcy wiosek stawiali wodę, wynosili chleb. I był dobry słoneczny dzień. Zatrzymaliśmy się nad rzeką Stryjem, myślałam się, kapali, żartowali. Prawie wszyscy byliśmy młodzi. Zapomnieliśmy, że jest wojna, że giną ludzie. Ostatni słoneczny dzień. Wieczorem uciekliśmy przed Ukraińcami do miasta Żydaczów. Nazajutrz, 17 września, zobaczyłam Armię Czerwoną. Zobaczyłam ją pierwszy raz w życiu. Słyszałam o niej wiele i same straszne rzeczy. Żołnierze w długich czynelach, z pięcioramienną gwiazdą, stali i śpiewali w autach ciężarowych, które pędziły ... do Bugu. Wszyscy pytali o Bóg. A my nie rozumieliśmy niczego. Dostaliśmy tak mocno w głowę, że nie mogliśmy się pozbierać. Nieniec na zachodzie, Rosjanin-bolszewik na wschodzie, Polacy w potrzasku. Wojsko niech ucieka na obczyznę, wszyscy inni mają wracać do domów i trwać, na przekór wszystkiemu trwać!

Uratowała mnie wiara. Matka była bardzo religijna - miała szkołę gospodarczą ks. Sadwigi Zamoyskiej w Kuźnicach w Zakopanem. Atmosfera domu była religijno-patriotyczna... wychowało mnie też harcerstwo, które służyło Bogu i Polsce. A ja te słowa brałam, jak zwykle, dosłownie. W gimnazjum 8-letnim, starego typu, byłam prezeską Seclacji Marińskiej. Choć nasz ks. prefekt był "ciasny"

nie zraził mnie do Boga czy Kościoła. Miałam w całym życiu wielką odporność co do wpływu ludzi. Za to we Lwowie spotkałam się z ludźmi najwyższej klasy. Duszpasterzem akademickim był ks. Czesnak, "człowiek państwowy", chyba jeden z pierwszych. To on dał mi pierwszy raz do ręki św. Pawła, moralik. To on głosił rekolekcje zamknięte 7-dniowe, z zupełnym milczeniem, na temat odpowiedzialności za Kościół. Od niego zapamiętałam na całe życie modlitwę: Ave Maria, Mater misericordiae..., Mów, Panie, bo słucha sługa Twój... oraz zdanie wygłoszone na koniec rekolekcji: Teraz tego nie rozumiecie, ale przypominajcie się wam to w odpowiednim czasie. (Przypominało się i to wiele razy).

We Lwowie działał bardzo popularny ks. arcybp. obrządku ormiańskiego Teodorowicz, (ks. arcybpa Twardowskiego widziałam, słyszałam, niczego specjalnie nie zapamiętałam).

Kiedy przyjechały ciężarówki z wojskiem rosyjskim - a do nich biegło kilku wyrostków żydowskich z czerwoną, wystrzępioną flagą - weszłam do pobliskiego kościoła. Płakałam, jęczałam, błagałam. Nie mogłam pogodzić się z faktem, który był oczywisty: nowy rozbiór Polski dnia 17.IX.1939 r. Długo byłam w kościele. Nie rozumiałam woli Bożej, ale uznawałam ją, zaufałam jej. I będąc instruktorką harcerską, obmyślałam robotę dla siebie - jak najszybciej wracać do domu, nawiązać kontakty i pomagać, pomagać w wyzwoleniu Polski.

Z drogi powrotnej niczego. Mama, jak wszyscy mieszkańcy Drohobycza, cierpliwie czekała na bieg wydarzeń. Nać się złego nie stało mimo "bezkrólewia". Ukraińcy mordowali i grabili, ale po wsiach, na miasta nie napadali. Nowa władza zaczęła funkcjonować. Kazała podjąć pracę w dotychczasowych placówkach. Starsza siostra wyjechała do wai, w której była nauczycielką, ja zgłosiłam się do Urzędu Skarbowego. Nie pracowałam^W długo - może 2 tygodnie - zwolniono mnie z powodu ojca. Z czego żyłam? Zaczęłam sprzedawać rzeczy, najpierw luksusowe: dywany, balową sukienkę (miałam tylko jedną, taftową ~~ciemnoniebieską~~ ciemnoniebieską z kwiatami jabłoni, w której byłam na Sylwestrze 1938 r.). W 1937 r. miałam załobę po ojcu, byłam tylko saniami w lesie; zorganizował tę "wycieczkę" Zbyszek, najmilszy druh. Z nim i jego żoną żyłam w wielkiej przyjaźni. - Zbyszek był w obozie niemieckim. Odebrał sobie życie. Żonę widziałam po wojnie. Wyszła za mąż za naczelnika poczty w Namysłowie, Rómera.). Brakiem pracy nie martwiłam się. Jeździłam, aby nawiązać kontakty. Byłam we Lwowie u komendantki Chorągwi Harcererek. Ona jesz-

cze nie podjęła żadnej pracy, wydała mi się jak udrętwiała (kiedyś pożyczyła mi mundur instruktorki, gdy wyjeżdżałam na obóz do Rumunii). Gdy "droga służbowa" zawiodła, nawiązała, i odnowiłam kontakty, np. z Marią Piwońską, moją drużynową starszo-harcerskiego kręgu ul. Zyblikiewicza. Okazało się, że najpilniejszą sprawą jest przerzut zagrożonych ludzi, wyższych wojskowych i "spalonych" cywilów. I stałam się przemytnikiem nie rzeczy a ludzi. Do granicy mieliśmy około 70 km, ale samymi górami. Podjęłam się przyjmować ludzi przesyłanych przez Lwów i odstawiać do jednego punktu przerzutowego po drodze. Przyjeżdżający mieli znak rozpoznawczy. Czekałam na nich na stacji, czekały też dziewczęta, moje starsze druhny. Szliśmy przitulone, rozmawiając wesoło, do uprzednio przygotowanych domów. Co parę dni, ja lub ktoś inny, odprowadzał kilku młodych ludzi na południe. Odprowadzałam do nauczycielki Marii Kozłowskiej, ze wsi Schodnicy. Chodziłam w czarnym żałobnym płaszczu, w czarnej kominiarce na głowie. Nie rzucałam się w oczy. Przemyt trwał około 3 miesięcy. W grudniu byłam na ostatniej przed granicą placówce, chciałam poznać trasę, którą chodzili "moi" ludzie. Była to gajówka. (Gajowego i jego wieloosobną rodzinę wywieziono w lutym na Syberię). Spaliśmy pokotem w wielkiej izbie zastłanej słomą (ludzi około 30). Rano przyszli przewodnicy. Ja jedna miałam wrócić. Namawiano mnie, abym szła z nimi, ja jednak wiedziałam, że mam wrócić i pracować dla Polski. Nie zapomnę nigdy tej chwili i tego widoku. Na białym, lśnią-cym śniegu wąż czarnych postaci. Ja stoję przy gajówce, a oni idą na południe w góry, machają rękami, znikają. Z ciężkim sercem co do ich losu, co do losu wszystkich Polaków, idę na północ.

Ponieważ miałam szczegółowe relacje tamtego przejścia przez granicę, dopisuję, choć nie byłam jego świadkiem. Nie spotkali nikogo po drodze, szli jakby na zimowej wędrówce. Granica polska nie była obstawiona, a może wartownik grzał się. Dopiero napotkali Węgrów. Węgrzy przyjęli ich gościnnie... winem. Wszyscy z tego przekroczenia granicy byli bardzo zadowoleni; ale nie zawsze tak niewinnie to wyglądało. Jedna grupa napotkała strażników, którzy ją aresztowali. Potem urządzili przeczesanie gór - obławę. Była i strzelanina i ucieczki i aresztowania.

Po nowym Roku już grup nie prowadziłam, szły pojedyncze osoby, raczej na własne ryzyko. Spadły wielkie śniegi i mróz był do 40°, gajowych wywieziono 11 lutego. śniatka przerzutowa potargała się. Z Węgier przychodzili kurierzy. Jednego znałam (Tadeusza Chciuka),

to wychodziłam naprzeciw i odbierałam "zakazane" materiały, a on bezpiecznie wracał do domu na nartach. Byłam po Tadeusza w Marien-talu. Stał tam zameczek myśliwski księcia niemieckiego. Jego zarządca gościł Rosjanów zapasami z piwnic książęcych, a córka, młoda dziewczyna, obsługiwała mnie i kurierów. Spałam na jedwabnej książęcej pościeli z haftowanymi inicjałami, z koroną i słyszałam z dołu głośne rozmowy i pieśni rosyjskie. Ale ja miałam mocne nerwy i naprawdę spałam spokojnie, nieco speszona książęzkimi wspaniałościami. (Potem dowiedziałam się, że całą rodzinę rządcy uwięziono, nie wiem czy "wpadli", czy Rosjanie chcieli obrabować dom pełen bogactwa).

Co przywieźli kurierzy? Materiały propagandowe: papiery, i filmy, instrukcje, żądali danych z otoczenia. Dziś, po z górą 40-tu latach, rozumiem sytuację. "Panowie" na Węgrzech chcieli się popisać robotą, jaką prowadzą w kraju. Nie wiedziałam wszystkiego, ale miałam wyostrzony instynkt. Nie poszłam do organizacji ZWZ, gdyby nie termin ustalony przez kurierów: na wiosnę wszystko się rozpocznie, pomagają będą Anglia i Francja. Ja, która nie kłamałam, wierzyłam słyszonym słowem. Sama pracowałam, wciągałam ludzi, a właściwie wciągać nie trzeba było. Kto był Polakiem pomagał. Naturalnie niektórzy należeli do podziemnej organizacji, sławne były piątki, przysięgi. Pamiętam, miałam taką wizytę. Przyszedł pan z "Polminu", opiekun harcerstwa. Długo mówił i namawiał mnie do organizacji! Nigdy nie należałabym do organizacji gadatliwego pana. Powiedziałam mu, patrząc prosto w oczy, że się boję i nie będę należeć. Bardzo żałował, wymienił nazwiska, kto należy i odszedł. Może rozgłosił, że jestem tchórzem, nie wiem. Nie należało mi na tym. Wszyscy nocowali; osoby zagrożone, siostry zakonne też - przebrały się. Nasz "Sztab" odbywał narady w domach prywatnych. Jednego razu byliśmy w domu oficera - on za granicą, ona z małym, może jednorocznym dzieckiem. Chodziło o zainstalowanie radiostacji. Wszyscy chcieli ją mieć. Najwięcej opierała się żona oficera. Popatrzyłam na kruszynę specyzującą ufnie na rękę matki i zawahałam się: Pani nie może tego uczynić z uwagi na dziecko. Twarz żony oficera zapłonęła. Usłyszałam: to jest syn oficera, nam się słusznie to wyróżnienie należy. Nosiliśmy też broń, odatowaliśmy do punktów, gdzie ją gromadzono. Ile, nie wiem, zresztą nie pytałam wiele. Raz miałam odebrać większą ilość, nadjechała ciężarówka. Siadłam. Wtedy Teodor Blachut nie puścił mnie samej, siadł razem (niepotrzebny rycerski gest). Broni wtedy nie było, wóciłiliśmy z niczym.

Dostawałam też pieniądze, nawet dużo pieniędzy z Węgier. Z harcerską skrupulatnością rozliczałam się z nich. Doskonale pamiętam, że dla siebie nie wzięłam ani jednej złotówki, choć nie pracowałam, a sprzedawałam rzeczy. Pieniądze mieniałam w Przemyślu, trzymałam w garnku kuchennym. Wydawało mi się to najbezpieczniejsze. Dawaliśmy zapomogi najbardziej potrzebującym. Komendantem był dr Zbigniew Ztałowski, potem Michalski, od lutego ja. Choć na procesie Jzef Łacina przyznał się, że był on. Nie mogłam prostować i tak zostało. Byłam tylko 2 miesiące w trudnym okresie, gdy były aresztowania, wsypy, nawet zdrady. (Głównie łączyłam siatkę i czekałam wiosny). Wkręcił się do nas jeden, a potem okazało się, że donosił. Mnie jednak nie wydał. W lutym zaczęły się moje wątpliwości. Kurier Tadek w zaufaniu powiedział, że mu się na Węgrzech nie podoba, że o kurierach, którzy dla Polski narażali życie wiele razy w ciągu dnia i nocy, mówiono z odcieniem pobłażania "moi chłopcy", że dawano pieniądze nie licząc i nie kwitując, że nie najlepiej zachowywali się Polacy na Węgrzech.

Druga wiadomość była straszniejsza. Wiosna się zbliżała, a nic nie wskazywało, aby coś miało się dziać. Nawet jeden z ważniejszych miał powiedzieć: Nie prędko się zacznie, ale w kraju trzeba ducha podtrzymywać. Jakże nie znał kraju! W kraju trzeba było ducha ujarzmić, przytkumić - a nie sporządzać spisy, gromadzić broń, żądać pracy szpiegowskiej! Tacy ludzie są odpowiedzialni za masowe aresztowania, które nastąpiły na wiosnę. W Borysławiu aresztowano oficera ze spisami, wzięto jednej nocy ponad 200 najdzielniejszych ludzi. W Borysławiu sypnęła się młodzież szkolna. Brali ich piątkami, tak jak należeli do podziemnej organizacji.

W początkach lutego Szczepan Michalski wpadł na granicy w ręce rosyjskie. Początkowo uchodził za przemytnika, niósł celowo jakieś rzeczy na wypadek schwytania. Materiałów obciążających pozbył się, ale w więzieniu rozpoznano go. Zniósł śledztwo, bicia, zachował się godnie.

Inny kurier, Alfred Freymund, został aresztowany, chyba w lutym i gdy go prowadzono na ulicy, uciekł. Miał w Drohobyczu matkę, ale przyszedł do mnie. Umieściłam go chwilowo w jednej rodziny, a potem znalazłam mieszkanie u inżyniera w Borysławiu. Za blisko. Nie wzięłam pod uwagę braku dyscypliny u Alfreda. Początkowo zachowywał się dobrze, bo był wystraszony. Potem oswoił się, nabrał pewności siebie. Z matką porozumiewał się przez inne osoby, żądał różnych ubrań i jedzenia, wreszcie chodził po Borysławiu, tylko że nakładał ciemne

okulary. A poszukiwania za nim trwały. Strażnik, któremu ucieknie więzień, ma za niego odsiedzieć karę. Można sobie wyobrazić, z jaką gorliwością strażnik szukał Alfreda. 12 kwietnia aresztowano go na ulicy w Borysławiu, bito, aby wydał pomagające mu osoby. Po mnie przyszli 13 kwietnia o godzinie 5 rano. Ta noc była straszna - wywożono ludzi. Kolejarze dali znać, że pociągi transportowe przyszedły. Bezbronni ludzie, miotani między nadzieją a rozpaczą, przygotowywali się do drugiego wielkiego wywozu. Najgorszą była bezsila: nikt nam nie pomagał i niebo milczało. Z bardzo nieprzyjemnymi myślami usnęłam późno. Zbudziło mnie pukanie. Otworzyłam, stało kilku cywilów. Weszli, kazali mi się ubierać. Sprawdziłam ich dokumenty NKWD. Na koszułę narzuciłam sukienkę, wzięłam płaszcz, czapkę i wyszłam. W domu została młodsza siostra, matkę zimą odwiozłam do starszej siostry. Matka bardzo nie chciała jechać, niektóre rzeczy wiedziała, niektórych domyślała się, bała się. Przekonałam mamę argumentem, że nie dam rady wyżywić 3 osoby.

Dom miałam czysty. Dwa razy była rewizja u sąsiadów. Wtedy popaliłam korespondencję, fotografie, pamiątki. Wzięto tylko kilka gazet. Miałam jeszcze ... rewolwer. 12-go kwietnia wieczorem przyniósł go jeden z chłopców, który spodziewał się wywozu. Nie chciało mi się iść z tą bronią, wsadziłam ją pod werandę od strony podwórza. I proszę pomyśleć, nie znaleziono jej, choć przeprowadzono bardzo szczegółową rewizję! Kiedy szłam kwietniowym rankiem z 2 panami, który prowadzili mnie pod ręce, nie żałowałam niczego. W mej głowie była jedna myśl, jedno błaganie, aby za mną nie poszły dziewczęta. Byłam tak głupia, że należąc do podziemnej organizacji, miałam czynny hufiec, tzn. drużynę. Były zbiórki, prace, rozkazy. Piękne było przyrzeczenie harcerskie na cmentarzu 1 listopada. Dopuściłam do niego tylko pięć dziewcząt (!). Piękna była Msza św. za Ojczyznę 11 listopada. Po Mszy zaintonowałam w kościele: Boże coś Polskę. Nikt mnie nie wydał. A teraz idąc do więzienia bałam się, bardzo bałam się o dziewczyny. Całą mocą ducha błagałam Jasnogórską Panią o pomoc. Mówiłam: Daję siebie za dziewczęta. Maryja nie zawiodła, dziewczęta zostały w spokoju. A przecież młodsza siostra miała 19 lat, a w innych wypadkach brały udział dzieci 15 i 16-letnie. W domu zrobiono "kocioł". Jak nigdy, wiele ludzi przyszło do mnie przez 2 dni. I wszystkich zatrzymywali, aż ludzie zorientowali się, że coś się stało na Polnej 10 i zaczęli ostrzegać. Jednych puszczono zaraz, innych po paru dniach, a jeszcze innych aresztowano.

Wprowadzono mnie do wielkiego budynku, Sądu Powiatowego i zaraz zaczęły się przesłuchania. Nie znałam rosyjskiego, prosiłam o tłumacza. Nie dano mi go. Na przesłuchaniach nauczyłam się języka rosyjskiego. Mieliśmy czas, dużo czasu. Pierwsze przesłuchanie trwało... 2 doby. Sędziowie śledczy zmieniali się, ja musiałam im wszystkim odpowiadać. Tylko jeden okazał się ludzki. Bardzo zmęczona napadłam na niego, aby mi dał spokój. Nie odezwał się do mnie więcej, siedzieliśmy milcząc może 2 godziny. Odprężyłam się.

Tam zorientowałam się, że niektórzy Rosjanie mają małe wykształcenie, nie umieli sformułować pytań, nie umieli zanotować odpowiedzi. Ale mieliśmy czas, dużo czasu. Były teatralne gesty - żałowano mi, że taka młoda, kazano przybliżyć się do okna - była noc. Drohobycz płonął tysiącami okien - grożono karą mojej matce. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba nie dano mi jeść. Zresztą nie byłam głodna. Na drugą noc było generalne przedstawienie. Pokazano mi pojedynczo część osób zatrzymanych u mnie, co mnie zupełnie oszołomiło. Gdyby mnie wtedy pytano, niejedno powiedziałabym. Ale śledczy w obecności kilku osób wygłosił przedmowę, że cała organizacja jest wysłiedzona i zamknięta i kazał mnie zaprowadzić do celi. Idąc do celi dostałam obuchem w głowę - to straszne powietrze więzienne dawało znać o sobie. Dla mnie, urodzonego wędrowca, najgorszą rzeczą w więzieniu był brak czystego powietrza. Wpuszczono mnie do celi. Podniosły się głowy, głowy nieznajome. Popłynął szept: kładź się spać. Podglądano, kogo nowoprzybyła zna. Położyłam się i chyba szybko zasnęłam.

W więzieniu w Drohobyczu byłam 2 miesiące, od 13 kwietnia do drugiej połowy czerwca. Były śledztwa i uczenie się więziennego życia. Śledztwa były męczące chyba dlatego, że badający byli bardzo nieudolni. Nie bito mnie. Może dlatego, że zaraz podpisałam, że przyznaję się, że należałam do organizacji przeciw ZSRR. § 56 rzekomo brzmiał: - nie widziałam go, odczytano mi go, czy prawidłowo, nie wiem: "dażyłam do oderwania części terytorium Związku Radzieckiego". Chodziło o ziemie wschodnie: wileńskie, poleskie, lwowskie, stanisławowskie. Bez wahania powiedziałam, że tak. Śledczy odetchnął, miał najważniejszą rzecz z głowy - przyznanie się do winy i to jakiej winy, najgorszej, politycznej. Potem on i inni ustalili szczegóły. Kłopot był z organizacją. Powiedziałam, że sama chciałam, że do organizacji nie należałam, że przysięgi nie składałam. Śledczy nie umiał z tego wybrnąć. Miał jasno określone przestępstwo: udział w organizacji. Litując się nad nim, podsunęłam mu myśl, że należałam do organizacji jednoosobowej. Rozpromienił się śledczy i tak napisał, ale było to

w Drohobyczu, w Kijowie byli mądrzej*si*, ale o tym będę pisać przy Kijowie.

Napisałam, że mnie nie bito - otóż raz dostałam w twarz. Nie mam o to żalu, ja bym chyba też uderzyła taką kłamczuchę. Nie wiedziałam, co mówią inni schwytani. Przeczyłam ich zeznaniom, nie wierzyłam podpisom, musieli stawiać mi ich do oczu. Po widzeniu i zorientowaniu się co mówią, najspokojniej odwoływałam swoje zeznania. I jeden śledczy nie wytrzymał. Po widzeniu z Michalskim, uderzył mnie. Pytał wściekły: dlaczegoś inaczej mówiła, odpowiedziałam rzeczowo: chciałam go widzieć. Na chwilę zaniemówił: Przecież on ma żonę i dzieci. Szybko odrzuciłam: No i cóż z tego? A z mężczyznami "moimi" było przedziwnie. Chcieli mnie początkowo zawstydzić i szukali "kochanka". Instynktem wiedzona, zaczęłam potakiwać i przyznawać się do rozmaitych panów. Początkowo śmiali się ze mnie, potem zaczęli powątpiewać, wreszcie zaprzestali na ten temat mówić. Doczekałam się, że bolszewik zaczął uczyć mnie moralności: nie wolno kochać żonatego. Płci mojej nie widzieli, a miałam lat 25, a oni byli młodzi, a ja wydana w ich ręce nocą i dniem. Matce Bożej dziękuję za to pokornie. Nieraz brzydzili się mną, pluli, przezywali. Pamiętam jak jeden strasznie wykrzywiony syczał nade mną - ty Piłsudski, albo ty Matka Boska! Po tym ostatnim "wyzwisku" zrobiło mi się w sercu bardzo spokojnie i radośnie. Jacy oni nierozumni, przyszli do naszego kraju, wiążą nas i głodzą, a przezywają najpiękniejszym na świecie imieniem. Jak porozumieć się z tymi ludźmi? A przecież każde dotknięcie z ich strony, każdy pocałunek przeżyłabym jako najgorszą tragedię. Tego nieszczęścia jednak nie doznałam.

Jak pisać o życiu więziennym? Widziałam więzienie, gdy uczyłam się prawa. Ale co innego widzieć więzienie, a co innego być w nim. Polskie więzienia miały znośne warunki, cele były przestronne z łózkami, podłoga drewniana, okna chyba zamalowane, nie pamiętam dokładnie. W kącie stała miednica i wiadro wody, drugie wiadro pełniło rolę klozetu. Do ustępu wyprowadzono nas trzy razy dziennie, trzy razy karmiono i jeden raz dziennie wyprowadzano na spacer. Strażnicy byli uprzejmi, zmusiliśmy ich do uprzejmości. Byłyśmy pogodne i bardzo posłuszne. Rwałyśmy się do pracy, a pracą było zmywanie podłogi. Najpierw strażnicy uważali (tę pracę) za karę - może więźniarki nie chciały jej wykonywać - potem dziwili się, gdy po dokładnym wymyciu, pytałyśmy się, czy może trzeba powtórzyć, bo my chętnie to uczynimy. Nie podobała im się ta gorliwość, bo oni musieli wodę donosić. Nawet

nie codziennie myłyśmy podłogę. Strażnikami byli młodzi chłopcy. Mie-
li wbite w głowę, czego "nie lzia" i nie ustąpili. Ale w innych spra-
wach można się było dogadać, np. można było chwilę porozmawiać, a
z tej rozmowy coś wynioskować.

Nigdzie, tylko w więzieniu jest największe oczekiwanie i naj-
większa nadzieja. Raz przyszedł do celi młodzieńcki strażnik, zapach-
niało strasznymi perfumami. Towarzyszki, zwłaszcza te, które umiały
po rosyjsku, zaczęły się dziwić, że tak pięknie pachnie. Chłopak błys-
nął zębami i uroczyście orzekł: Eto duchy, sorok kopiejek.

Najgorsze było powietrze, cele były nigdy nie wietrzone oraz
jadło. A z jedzeniem była taka sprawa. Dostawałyśmy codziennie jedna-
kowe jedzenie: rano i wieczór czarną kawę z pajką chleba, w południe
kaszę-pencak trochę osolony, bez żadnego tłuszczu. Czyż trzeba się
dziwić, że po tygodniu, dwóch, trzech, czterech ... zatykałyśmy nos
i oczy i przełykałyśmy jak indyki liczoną porcję łyżek. Naszą dewizą
było: musimy przetrwać, musimy doczekać końca wojny. Gdy jechałyśmy
w czerwcu do Kijowa, jechał z mężczyznami, jako więzień, naczelnik
więzienia, który okradał więźniów, dając im tylko pencak. Nie wiem
jak więźniowie rozprawili się z nim, mężczyźni są czulsi na sprawy
kuchenne. Nie mieliśmy żadnego sklepiu "ławoczki", a więźniom to
przysługuje. Przed wpuszczeniem do celi jest dokładna osobista rewiz-
ja. Odebrano mi złote pierścionki, medalik oraz torebkę z dokumen-
tami i pieniędzmi. Miałam 200 rubli. Złote rzeczy przeszły na skarb
państwa rosyjskiego, na pieniądze otrzymałam pokwitowanie. Codzien-
nie prosiłyśmy o "ławoczkę", wreszcie oznajmiono, że "ławoczka" jest.
Można było kupić chleb, papierosy i ... cebulę. Ta ostatnia stała się
najcenniejszym towarem. Kupowałyśmy ją w olbrzymich ilościach i sypa-
ły w róg celi, każdy mógł brać i jeść. Wtedy po raz pierwszy jadłam
cebulę jak jabłko, najeść się jej nie mogłam. A jakie powietrze było
po tej cebuli, lepiej nie mówić.

Na spacer wychodziłyśmy na wewnętrzne małe podwórko. Chodziłyśmy
w kółko pół godziny, zawsze te pół godziny były skrócone. Ale widzia-
łyśmy niebo błękitne, oddychałyśmy świeżym powietrzem, patrzyłyśmy
na strażnika na wieżycze pod daszkiem, który pilnuje więzienia i świa-
ta. Jaki był ważny i surowy, zwracał uwagę naszym strażnikom: "Żeń-
szczyzny podnimajom szum"m I wtedy zaczynał się "szum". Najpier dziwi-
łyśmy się: "My podnimajom szum?" "My spokojne"m Potem dziwiłyśmy się:
skazał, podnimajom szum? Potem gniewałyśmy się: Kaki on, skazał pod-
nimajom szum. I tak w kółko, w kółko a coraz głośniejsze. A chodziło o to,
aby w celach słyszano nasze głosy. Nieraz skracano za karę przechadzki.

Czasami udało się wykrzyknąć nazwę, nazwisko, ale z tym trzeba było uważać. Był karcer. Z przechadzki wracało się ze "skarbaniami", kawałkiem blachy lub żelaza - w języku więziennym "nóż", ze szpilką, rzadziej agrałką lub igłą, najczęściej z ostrym kamieniem. Ten ostry kamień gładził i polerował paznokcie, rozcinał nitki i włosy itd. "Nóż" to rzecz niezbędna w życiu codziennym. Przy okresowych rewizjach wszystkie ostre przedmioty były skrupulatnie odbierane.

Jeszcze była "opieka lekarska". Codziennie otwierały się drzwi, stawała młoda dziewczyna w pielęgniarskim fartuchu i przywoływała "bolnoje". Na zgłaszane choroby dawała lekarstwa: pigułki i maście. Zapamiętałam doskonale czerwone pigułki na obniżenie gorączki. Pielęgniarka zapisywała też do doktora. Do doktora wzywano łamiennie. Szło się bez rzeczy. Najbardziej przykrą rzeczą było iść z rzeczami - albo do innej celi albo na wywóz.

Za karę kilka z nas prało bieliznę więźniów w oddzielnych pomieszczeniach (prałam chyba 5 dni). Kilku starszych oficerów wysłuchiwało się z nas. Za karę myłam klozety.

Tryb życia w więzieniu nie był mi przykry. Byłam wdrożona do dyscypliny. Natomiast był problem, czym wypełnić godziny dzienne. ~~Ra-~~ towały towarzyszek. Najpierw powiem słowa uznania za ich postawę. Wszystkie polityczne, choć zawsze była i "wtyczka". Wszystkie zachowujące się z godnością, nikt nie rozpaczał, nie narzekał. A byli wśród nich matki co zostawiły małe dzieci. Wszystkie okazywały serce, szczególnie młodym, szczególnie świeżo aresztowanym. Może i ja przeżyłabym inaczej więzienie, gdybym nie spotkała te piękne niewiasty. Dużo modliłyśmy się, dużo rozmawiałyśmy, dużo cicho śpiewałyśmy (strażnicy lubili słuchać). Siedział przeważnie Drohobycz i Borysław. Mówiłyśmy o sobie, i swoich rodzinach, o swojej pracy. Nigdy nie mówiłyśmy o swoich "przestępstwach". Jakżeż było zdziwienie niektórych w Kijowie, gdy siedziały na jednej ławie oskarżonych. Inna rzecz, że po śledztwach powstała organizacja z tysiąca i jednej nocy i nikt nie zdołałby rozplątać tego węża gordyjskiego.

Pierwszego dnia mego życia więziennego podeszła do mnie Haneczka - młoda dziewczynka i powiedziała: umyj twarz przede mną. Nie rozumiałam i odrzuciłam jej prośbę. Nie obraziła się. Potem w Kijowie, gdy nas było więcej i spałyśmy po dwie na jednym łóżku, moją współtowszyszką była Haneczka. Bardzo ją lubiłam. Dobra i delikatna dziewczyna. Były z nią związane: profesorka języka angielskiego Czesnowicz (chyba Anna) i dwie Klimontowicz (?). Co do tego mycia wyjaśniam: wodę nosił strażnik. Nie przynosił jej za wiele. Łałyśmy

wodą do miednicy i myłyśmy najpierw twarz, potem inne części ciała, aż woda była zupełnie brudna. Było wielką uprzejmością odstąpić kolejną do mycia twarzy.

Była jeszcze nauczycielka Włocyna (Joch), komendantka P.W. Siusia, jej podkomendna, Maria Grocholska. I jedna nauczycielka, która umiała żartować w bardzo przyjemny sposób.

W czerwcu znaki na niebie i ziemi zapowiadały jakąś zmianę, np. strażnik na wieżyczeniach maskę gazową. Nowoaresztowane przyniosły wiadomości o wielkich aresztowaniach w Borystawiu, o czerwcowych wywozach w głąb Rosji. Z końcem czerwca wywieziono nas transportem do Kijowa. Jechaliśmy normalnymi wagonami; mężczyźni i kobiety razem. Rozmawiałam z Michalskim, Łaciną, Freymundem, odtworzyłam sobie mniej więcej bieg wydarzeń, dowiedziałam się, że dziewcząt nie aresztowano, że młodsza siostra wyjechała - domyśliłam się że do starszej siostry i matki.

Przy przekroczeniu granicy nie płynęły łzy, śpiewaliśmy - Jeszcze Polska nie zginęła... Od granicy jechaliśmy w wagonach rosyjskich szeroko-torowych, z pryzmami do leżenia. W Kijowie siedziałam pełny rok na słynnej "Łukianówce". Więzienie, nie wiem dlaczego, nazywało się Łukianówka, mieściło 30.000 więźniów. Te dane mam od Rosjank z Kijowa, nie wiem, czy prawdziwe. Więzienie zrobiło na nas dobre wrażenie. Była rewizja i badania lekarskie. Odłączano chore na choroby weneryczne. Polityczne były w oddzielnym budynku. Dość wielkie cele ~~z~~ z łózkami na betonowej posadzce. Okna były straszne, obite rdzawą blachą wygiętą półkolistą. Tylko na górze widać było sierp nieba, a świeżego powietrza nie było zupełnie. Zawsze przed tym "sierpem nieba" stała jakaś dziewczyna. O czym myślała, gdy była oskarżona o ciężkie zbrodnie, a nikt nie nadzieja wiązała się z często powtarzanym słowem - "koniec wojny". Niech Bóg nie ukarze człowieka, który wymyślił te blachy. Odgradzały powietrze, w lecie nagrzane zionęły gorącem nie do wytrzymania.

Zachwycone byłyśmy pożywieniem "Łukianówki". Przez 3 miesiące jadłyśmy pancak trochę osolony, bez tłuszczu. W transporcie dawano nam chleb, margarynę i konserwy rybne. Za napój służyła zimna woda. W Kijowie dostawałyśmy kapuśniaczek podprawiony pomidorami z tłuszczem. Nie mogłyśmy się jego dość nachwalić. Do dziś widzę przed oczyma miszkę fejansową, kremową, pełną po brzegi kapuśniaczku. Łyżka była drewniana, malowana, miała pewien specyficzny zapach. Ale nie przejmowałyśmy się takimi drobiazgami. I było drugie danie, najczęściej kasza, ale też i kluski, ryby. Szczególnie pamiętam

ogromne ryby morskie. Po wyjęciu kilku olbrzymich ości zostawała duża porcja smacznego białego mięsa. Ryby dawano tylko gotowane. Pomiętam też dobrze soczewicę. Jadłam ją po raz pierwszy. Przyprawiona olejem smakowała mi.

Porządek dnia był podobny jak w Drohobyczu, tylko strażnicy mądrzej i bardziej obowiązkowi. A na samej celi zapanował Wersał. Któż tu bowiem nie siedział? Hrabinie i hrabienki, elita usysłowa wszystkich "wyzwalanych krajów". Żydówki, Ukrainki za nielegalne przekroczenie granicy. Najlepszy przypadek zdarzył się pracownicy fabrycznej z Łodzi. Była komunistką z przekonania. Należała do odpowiedniej organizacji. Gdy zorientowała się, że granica stanęła na Bugu i że niedoczekają się uwielbianych towarzyszy, poszła do nich przez "zieloną granicę". Schwytała na granicy siedziała z nami, groził jej wyrok 5 lat. Opowiem o niej, opiszę jedno wydarzenie, którego byłam świadkiem. Nie pamiętam jej nazwiska ani imienia. Ta kobieta była niska, szczupła, o ciemnych włosach i czarnych gorejących oczach. Raczej małomówna, nie nawiązywała z nikim bliskiego kontaktu. Musiały bardzo ją drażnić nasze wspólne modlitwy. Przewodniczyłam tym modlitwom. Kto wierzył, łączył się z nami, kto nie wierzył, milczał, nie przeszkadzał (Żydówki, Rosjanki, Białorusinki). Często zdarzało się, że podchodziły do mnie osoby z prośbą o modlitwy w pewnej intencji. Zawsze spełniałam te prośby, nawet Rosjanek, o uwolnienie. Rozstrzygnęłyśmy wspólnie, że do modlitwy ma każdy prawo. Naturalnie robiłam to bezinteresownie. Śpiewałyśmy też często nabożne pieśni. I było święto maryjne, prawdopodobnie 3 maja 1941 roku. Gdy mówiłyśmy wieczorem litanię do Matki Boskiej, do najpiękniejszych wezwań dołączył się krzyk, straszliwy krzyk, ordynarnych obelg i bluźnierstw. Nie dotyczyły nas, ale Matki Bożej. Zmartwiliśmy, umilkłyśmy. Ja pierwszy raz w życiu słyszałam straszne słowa rzucone na Matkę Bożą. Po prostu nie wiedziałam co robić? Jedno słowo tłukło się w głowie: eksplacja, eksplacja wszystkich wierzących. Ale Bóg sam stanął w obronie swej Matki. Kobieta chrapała, rząziła. Wezwaliśmy lekarza. Dał jej coś na uspokojenie i poszedł. Przez całą noc na zmianę czuwałyśmy przy niej. Według mej oceny, po ogromny wysiłku - krzyku, dostała częściowego skurczu, paraliżu krtani. Dusila się całą noc. Myślę, że nasza postawa ją zawstydzila, jeszcze więcej unikała nas, po pewnym czasie zabrano ją z celi. Więcej jej nie widziałam. A były to ostatnie dni naszego pobytu w Kijowie.

W celi było 35 czy 36 kobiet i ... 14 narodowości. Pamiętam doskonale, bo sama je liczyłam. Spróbuję wymienić: najliczniejsze Polki

(choć nie wszystkie z Drohobycza), były i inne żeńskie cele, Ukrainki, Białorusinki, Żydówki, Litwinki, Łotyszki, Estonki, Rumunki, Cyganki, Rosjanki.

Napiszę o moich współtowarzyszkach. Polki: 1/ Hrabina Korytowska (po wojnie byłam nad granicą rosyjską, widziałam jej dobra (Nepal?), staruszka, o pięknych manierach, która na swoim łóżku czuła się jak w pałacu. Przyjmowała wizyty, ubolewała nad jedzeniem (nie mogła wszystkiego jeść), nauczyła mnie przepięknych modlitw i koronek. Nie zgadzałam się z jej nabożeństwem do świętych. Każdy święty miał w opiece inną część ciała i był ratunkiem na dane choroby, np. do św. Marii Magdaleny trzeba się było modlić o długie włosy, a że hrabina ... łysiała, zanosila ustawiczne modły do tej świętej. Nie przeczyłam, ale swoje wiedziałam i czyniłam. Miałam przeszkolenie liturgiczne - lwowskie.

2/ Hrabianka Trzcicka, chyba Maria. Bardzo skromny, usłużny, prawy człowiek. Widziałam ją jeden raz w oburzeniu, gdy arystokrację posadzono o zdradę (bo i takie były rozmowy więzienne).

3/ Młoda, piękna malarka, chyba też hrabianka. Szkoda, ale nie pamiętam jej nazwiska. Jakim pewnym, ładnym krokiem chodziła po podwórzu więziennymi! Od niej dowiedziałam się, że ją "barwa boli". Gdy patrzy na błękit nieba, na czerwoną chustkę, którą miały więźniarki, czuje ból. Mnie nigdy barwa nie bolała. Podziwiałam ją tylko. Potem zrozumiałam przez porównanie. Kocham las, góry. Pięknym widokiem mogę zachwycić się do .. wstrząsu, do specyficznego bólu. Malarka zaczynała od tego, na czym ja kończyłam; zaczynała tworzyć, to znaczy malować.

4/5/6/ ja, Haneczka, Czesnowicz, 7/ Maria Kozłowska, 8/ Stefańska.

9/ Gabryela Porębska, z Otynii, piękna brunetka z czarnymi akşamitnymi oczami. To ona najczęściej stawiała przed "sierpem nieba".

10/ Maria, była strażniczka więźniarek w Polsce przed wojną. Wysoka blondynka, ładna, ale urodą dojrzałej kobiety. Wyszła za mąż za fryzjera, który miał swój zakład naprzeciw Sądu. Często czesałam się u niego. Maria była brzemienna i to w ostatnim miesiącu. Mimo tego nie straciła swej urody a doszedł jeszcze rys matki - oczekiwania, zachwytu nad swym stanem szczęścia. In gramięto dyskutowaliśmy godzinami, czy oddadzą dziecko Marii. Maria zapewniała, że będzie o to walczyć do ostatniego tchu. Droga Marii Pewnie wypadło ci rodzić, gdy koniec świata zapanował nad Kijowem, bo wróg się zbliżał. Napewno nie uratowałaś ani sienie, ani dziecka - owocu wielkiej mi-

kości do smagłego mężczyzny.

11/ Stara kobieta w brązowym płaszczu czy fartuchu. Ona jedna napadała na arystokrację. Nie mogła znieść myśli, że arystokracja jest arystokracją nawet w ... więzieniu. Poza tym była wesoła, rubaszna, opowiadała niewybredne dowcipy.

12/ wieśniaczka, znajoma hr. Korytowskiej. Jej stosunek do hrabiny był krańcowo odmienny. Gdy hrabina obiecała jej krowę, połniła koło niej rozmaite usługi np. czesała ją, ścieliła łóżko. Gdy ktoś - najczęściej brązowa starucha - wyśmiał i krowę i jej głupotę, nie podchwodziła do hrabiny, leżała na łóżku i myślała nad swoimi, niezłatwymi sprawami.

13/14/ Dwie Ukrainki ze Lwowa; jednej było zdaje się Stefa - wielkie szowinistki, ale gorące patriotki, mocne dziewczęta. Były czarne po śledztwach, ale nie wydawały. Stefa za opór była w "mokrym" karczerze, to znaczy stała w wodzie. Nawet po mokrym karczerze nie zmiękła. Z Ukrainkami bez rozmowy ustaliłyśmy sposób życia; odnosiliśmy się do siebie uprzejmie, nie ruszając nigdy sprawy przynależności ziem wschodnich, Lwowa itp.

15/16/ Białorusinki, ciemne kobiety, zwykle leżały na swoim wspólnym łóżku. U nich jednych zauważyłam obejmowanie się, pocałunki, i pieszczoty. W więzieniu uczyłam się życia. W domu i w harcerstwie znałam tylko jeden jego wycinek, mogę śmiało powiedzieć, najpiękniejszy. Powoli uczono mnie. Np. nie rozumiała do czego mogą służyć stosy małych, drewnianych patyczków, jakby palców. Poinformowano mnie, że to po rewizjach odbierają więźniarkom. Dalej nie rozumiałam, bo w naszej celi takich patyczków nie było. I dopiero zaczęto mnie uświadamiać. Na marginesie powiem, gdy we Lwowie śmiano się z moich naiwnych, a czasem zabawnych odpowiedzi, zirytowana poprosiłam kolegę - medyka o książkę. Z chęcią mi przyniósł. Przeczytałam, ale sama wiedza bez kontekstu etycznego, nie zachwyciła mnie.

17-22/ Żydówek było kilka. Potem ich ilość wzrosła. Siedziały za nielegalne przekroczenie granicy. Pamiętam, miały prześliczne suknie z wełnianych koronek. Same je robiły. Potem i nas nauczyły robić na drutach. Były intrygantne, taktowne. Mają wielki dar dostosowania się do sytuacji i osób. Z wielką żarliwością obchodziły swoje święta, szczególnie pamiętam Śądny Dzień. Polki okazały się też na poziomie, - złożyłyśmy życzenia. A życzenia były najprostsze, najbardziej oczekiwane: wrócić do kraju, do rodziny, nawet nie do dobrobytu, nawet nie do majątności. Tak Bóg przez doświadczenia wychowuje ludzi, uczu-

la ich na prawdziwą wartość.

22-28/ Kilka Litwinek i Estonek. Uderzył mnie nieznany- bardzo śpiewny język Estonek. Potem przekonałam się, że Estonki to elita, pod względem etycznym i patriotycznym pierwsza klasa.

29/ Z ^{Rumunii} ~~Rumunii~~ była bodaj jedna osoba, starsza dystygnowana osoba, w jakiejś czarnej jedwabnej narzucie, profesor muzyki z Bika-resztu.

30 i 31/ Kilka Cyganek, nie wiem czy nie mylę się z Aleksandrowskim Centralem.

32-36/ Rosjanki. Było ich kilka za rozmaite "przestępstwa", najczęściej za handel po wyższych cenach. One często wychodziły na korytarz. Mam wrażenie, że donosiły, co się mówi w celi, pohadto szły "na zabawę" do strażników. Niekiedy wracały z podejrzanymi wypiekami, z błędnymi oczyma, z głupim uśmiechem. Wśród Rosjanek była starsza pani, siwa, pracowniczka Uniwersytetu Kijowskiego. Była bardzo milcząca w swoich sprawach, dopiero gdy nabrała zaufania, coś ~~xxxxxxx~~ ~~kxx~~ nie coś rzekła. Uwięziono ją, bo wzięła w obronę Polskę. Podobno rzekła, że nie wolno było dobijać Polski, gdy walczyła z potężnym wrogiem, Niemcami. Od niej dowiedziałam się niektórych szczegółów o Rosji, ona wprowadzała mnie w świat literatury rosyjskiej. Od niej wiem, że Rosja jest jednym wielkim więzieniem, że wymordowano tyle Rosjan, ile nie wymordowali wszyscy carowie razem, że wszystkie więzienia są przepełnione, że wyroki są bardzo wysokie, że za słowo, żart, dostają ludzie 5, 10 lat. Że są wtyczki w więzieniu i każdy więzień bez procesu, bez możliwości obrony może dostać dodatkowy wymiar. Byłam świadkiem: wywołują na korytarz, chyba sędzią, urzędowym tonem czyta z urzędowego papieru: za śpiewanie zakazanych więziennych piosenek wyrok 5 lat, łącznie do odsiedzenia np. 15 lat. Ale to było później, gdy siedzieliśmy po wyroku. Obecnie wszystkie byłyśmy w śledztwie. Najgorsze czasy nastały po wykryciu działalności Trockiego. Tyle było aresztowanych, że ludzie stali w celach, jak ktoś był chory, też stał, jak umarł, też stał, dopóki go nie zabrano. Rosja stała się strasznym więzieniem - zupełny brak zaufania, podsłuchy, donosy, oskarżenia. Kiedy to się skończy? Rosjanka bardzo kochała Ojczyznę, bolała nad jej losem. Myślę, że wyszła owego lipcowego dnia, nie miała ciężkiego przestępstwa. Dbano o nią, ~~on~~ dostawała "peredacze" - paczki, dzieliła się nimi chętnie. A jakie zachowywałyśmy posty? Uchwaliliśmy, że mięsa prawie nie mamy, pościłyśmy jedząc chleb i wodę (!). Widzę jej bladą twarz, okraszona mi-

łym uśmiechem, widzę jej uważne i dobre oczy, które patrzą na nas ze współczuciem.

A my - mówię o Polkach - odżyłyśmy. Kijów to wielki świat, nie powiatowe miasteczko -

- 1/ zaczęłyśmy się uczyć i czytać,
- 2/ nawiązałyśmy kontakt z mężczyznami,
- 3/ robiłyśmy na drutach,

W Kijowie była biblioteka (!). Tak, Związek Radziecki troszczy się o swoich więźniów i tak ich wychowuje! Pierwszą moją książką była: Bielejet parus odinokij... Jak czytałam? Napisano mi alfabet rosyjski, wzięłam go i książkę i zaczęłam. Trzeba dużo silnej woli, aby w ten sposób nauczyć się nowego języka (a szkolili mnie jeszcze sędziowie śledczy). Przeczytałam kilka dzieł klasycznych w oryginale: Wojna i pokój - Tołstoja (znałam po polsku), Cichy Don - Szołochowa (znałam po polsku), ~~po~~ezje Lermontowa (nie znałam ich). Język rosyjski jest bardzo piękny, obrazowy. Wielką radość sprawił wiersz odczytany w celi. Podaję jego sens w moim tłumaczeniu:

*czyt
to nie
zbytnie* Jaką piękną krainą jest Rosja,
Nigdzie człowiek nie oddycha tak szeroko i swobodnie.

Ten wiersz czytany w celi o 14 narodowościach miał swoją wymowę. Uczyłyśmy się też jedne od drugich. Czesnowicz uczyła języka angielskiego, ja uczyłam się rosyjskiego, miałam też wykłady z prawa ustrojowego i historii, dużo nauczyłam się od pani docent archeologii, ale to już było w innej celi, potem o tym napiszę. Wszystkie zaś uczyłyśmy się gorączkowo robić na drutach. Dawano nam - kobietom watę. Wprawdzie po jakichś lekarstwach, które dostawałyśmy w jedzeniu, traciłyśmy menstruację, ale kobiety muszą mieć watę. Tę watę zaczęłyśmy prząść (nauczyłam się tej trudnej sztuki, niektóre przędły prześlicznie), a potem na zwykłych patykach robiłyśmy bluzki, sweter, suknie. Gdy nie starczało nici pręłyśmy co się dało, mieniałyśmy, handlowały. Szał ogarnął kobiety. Ja, która nigdy nie robiłam na drutach, robiłam najmniej: 1 sweter z waty i 1 śliczną bluzkę. Była różowa z poprutyh reform, z pięknym karczkiem fioletowym z podarowanej nitki. Ale jaki miała przedziwny wzór, wypukły, ozdobny. Z tą bluzką wróciłam do Polski; znów nie miałam czasu zajmować się robótkami kobiecymi, pracowałam i uczyłam się i po paru latach komuś tę bluzkę dałam. Szydełkować i robić na drutach uczyły Żydówki. Ile im zawdzięczamy! Nie gryzłyśmy się, nie dokuczały, a pożytecznie czas spędzały. Nawet pielęgniarki i doktorki zamawiały u nas bluze-

czki. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł - "urządzamy wystawę". Na łóżkach były ekspozyty wyczyszczone, wyglądzone. Jurorzy: Żydówki i ktoś z arystokracji, pewnie malarz, przyznawali grand prix.

Spałam przez całą zimą przy ścianie tak wilgotnej, że ściekała woda. Cud Boży, że mnie nie pokręciło. Byłam 5 dni w karcercie suchym za nóż. W więzieniu siedziały i dzieci. Widziałyśmy je, słyszałyśmy ich płacz. W Kijowie nawiązałyśmy kontakty. Dzień i noc pukano w ściany alfabetem Morse'go. Straż nie mogła dać rady, już z tym nie walczyła. Każda nowina obiegła całe więzienie. Trzeba było ją przyjąć i podać dalej. Z harcerstwa znałam doskonale ten alfabet. Kto go nie znał, uczył się go gorączkowo. Na zmianę zawsze ktoś siedział przy ścianie. Za jedną ścianą siedzieli mężczyźni, za drugą kobiety. Co do drugiego twierdzenia nie mam 100-procentowej pewności. Nawiązałyśmy też kontakt listowny przez ustępy. Jakąś płytkę czy cegłą wyjmowało się, wkładało list i bardzo porządnie przywracało dawny wygląd. Tak rozpoczęłam korespondencję z Zychem z Baranowicz. Poza nowinami zaczął pisać wyznania miłosne, czym byłam zaskoczona i zażenowana. Przysłał mi nawet maciupinką fotografię; przystojny młody człowiek o wysokości 1.74 m. Nie wiedziałam co robić. Dopuszczone do tajemnicy (Maneczka, Maria Kozłowska, jedna nauczycielka z Borysławia) orzekły, że korespondencję trzeba kontynuować, tylko niczego nie przyrzekać, bo jest wojna. . Nazwałam się 100. . Trwało to może 2 - 3 tygodnie. Aż jednego razu w skrytce znalazłam odmiennym piśmem takie zdanie: bardzo cię kocham. To strażnik wyjął list i zażartował. Trzeba przyznać, że dowcipnie. Nie szukał sprawcy, nie nękał nas, a za listy groził karcer. Już nie pisałyśmy z Zychem, siedział w jakiejś dalekiej celi, tylko gdy odjeżdżał był w rozpacz, całą unosił, wysmarował: 100 wyjeżdżam, 100 czy cię zobaczę, sto gdzie będziesz, 100, 100, 100!

A teraz opiszę nasze tańce w ustępie. Do ustępu wyprowadzano nas 2 razy dziennie, rano i wieczór całą celą. Wyjątkowo na prośbę można było wyjść oddzielnie. Ustęp miał 3 czy 4 kabiny i małą wolną przestrzeń. Nudziło nam się czekać. Przepuszczałyśmy starsze panie i z nudów zaczęłyśmy tańczyć: najpierw tańce znane, ale w tak małym pomieszczeniu nie można było nabrać rozmachu, potem rozwinęła się twórczość i powstawały "balety". Najbardziej zachwycony był strażnik, podglądał przez uchylone drzwi. Słyszałam jak zwierzał się innemu strażnikowi z podziwem: płasają! Te balety dawały nam wiele radości, trwały do wywozu. Na spacer Maryja Kozłowska chodziła w kapeluszu, aby było wesoło.

I były śledztwa. Ja stosunkowo nie miałam ich dużo, coś 16 i nie były ciężkie. Przecież przyznawałam się do winy, chodziło tylko o powiązanie szczegółów. Sędziowie śledczy odrzucali jednoosobową organizację, natomiast "stworzyli" organizację łącząc ludzi z jednego miasta, którzy się znali. A że do mnie przyznał się Łacina, Freymund i Michalski - zeznali, że odprowadzałam ich, gdy szli na Węgry - potwierdziłam, ale że robiłam to z miłości do Michalskiego. W Kijowie nie bardzo wierzyli w moją miłość. Wyszło, że nawiązywałam potarganą sieć organizacyjną, o broni nie wiedzieli, o stacji nadawczej też nie wiedzieli. Chcieli mi dać paragraf szpiegowski, ale nie mieli żadnych dowodów, z domu niczego podejrzanego nie wzięli. Przeto akt oskarżenia opiewał o przynależność do organizacji przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Inne Polki też nie miały ciężkich śledstw. Najcięższe miały Ukrainki, bo się wszystkiego wypierały. Na przesłuchania wożono; nikt mnie nie uprzedził, więc bardzo się bałam, gdy na dziedzińcu więziennym wepchano mnie do czarnego pudła. Było w nim tyle miejsca, że można było usiąść w skurczonej pozycji. Nie wiedziałam gdzie, po co jadę, co będą ze mną robić. Mówiłam bez przerwy "Kto się w opiekę..." a zęby szczękały głośno. A było to dowieszenie więźnia na przesłuchanie. Pudło to, w języku więziennym "czarna wrona" podzielone na 6 klitek; na przodzie siedzieli strażnicy. całość wyglądała jak auto ciężarowe. Nie wolno było rozmawiać. Raz jeden próbowałam, siedziałam za to pół nocy w zastępczym karczerze aż skruszałam i obiecałam, że nigdy tego nie będę czynić.

Pokoje śledczych były duże, jasne, oświetlone, z biurkami, książkami, aktami, z drzwiami wyłożonymi miękkociągami, aby nie było słychać krzyków i jęków. Wszystko robiło się nocą. Nocą też odbył się sąd. Sądził mnie, raczej nas - ludzi z Drohobycza, połączonych fantazją śledczą - Najwyższy Trybunał Wojskowy w Kijowie. Za stołem siedzieli wyżsi oficerowie w roli sędziów, najważniejszy był prokurator. Nas - pojedynczo - doprowadzało na ławę oskarżonych 2 strażników, idący z tyłu trzymał oparty o moje plecy rewolwer. Zobaczyliśmy się od wolności drugi raz, pierwszy raz w wagonie, ale w innym składzie, teraz tylko Drohobycz, niektórych widziałam po raz pierwszy w życiu. Było nas około 20 czy ponad 20 osób. Odczytano akt oskarżenia, pytano co chcemy sprostować czy uzupełnić. W imieniu nas wszystkich zabrał głos Michalski - mówił, że zeznania są wymuszone, że są pogwałcone najważniejsze prawa człowieka. Po nim nikt z nas nie zabierał głosu, a zabierał "poczciarz". Sąd udał się na naradę, a nam nie broniono rozmawiać. Gadaliśmy do woli.

Zrobię wstawkę o jednym bardzo starym panu. Był na emeryturze jako urzędnik pocztowy. Przed I wojną światową służył rok czy dwa w żandarmerii. Czy miał to w życiorysie, czy ktoś doniósł - został aresztowany. Ciężko znosił więzienie, miał chore nerki i co chwila oddawał moczu. Ten "poczciarz", tak go nazwaliśmy, był sprytny. Ułożył sobie mowę. Przyznał się do znajomości z Leninem, prawie do jego przyjaciela. Jak sprawdzić te słowa? Przecież Lenin nie żył od blisko 20 lat. Doskonale pamiętam taką scenę. W sali sądowej stał duży posąg Lenina z wyciągniętą ręką. "Poczciarz" mówił: to on mnie tu wita jak za dawnych czasów. I dziwi się dlaczego jestem aresztowany i tak cierpię w więzieniu. Ogłoszono wyrok; "Poczciarza" zwolniono (powtórzę słowa małżonki Jadwigi: ktoś zapłaci na kzy jego i jego rodziny?). Cieszyliśmy się z tego wszyscy i nie mieliśmy mu za złe, że odstawił sztukę z Leninem. Było 3 wyroków śmierci, doskonale pamiętam że pięć, ale wszystkich nazwisk nie mogę sobie przypomnieć - 2 mężczyzn chyba mi nieznanych oraz Michalski, Freymund, Łacina. Niektórzy dostali 15 lat, niektórzy 10, niektórzy 5. Ja dostałam 10 lat i 5 lat pozbawienia praw publicznych. Dano nam wyrok na piśmie. Zapytano, czy korzystamy z ostatniego słowa - skazanemu przysługuje ostatnie słowo. Naradziliśmy się, że nie będziemy mówić, przemówił za nas tylko Michalski. Daję świadectwo, że druh Michalski w sali sądowej po ogłoszeniu mu wyroku śmierci, wobec Najwyższego Trybunału Wojskowego wygłosił płomienną mowę. Mówi o miłości do Ojczyzny i że tę miłość z serca Polaka nikt nie wydrze. Nie pomogą więzienia i tortury. O wolną Polskę będą walczyć Polacy aż do zwycięstwa. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba biliśmy brawo Michalskiemu. A wtedy Trybunał znikł (szybko uleciał się), a nas czarnymi wronami odwieziono do więzienia; - naszego domu. Odtąd byliśmy już nie w śledztwie, a skazani. Skazani jakże polityczni nie mogą pracować. Skazani niepolityczni pracują, lepiej jedzą, coś widzą i słyszą.

Po zakończeniu śledztwa a przed wyrokiem otrzymałam zezwolenie napisania do domu. Napisałam do siostry, że jestem zdrowa, że potrzebuję ciepłych rzeczy, że siedzę w Kijowie. Kartka ta - jedyna - doszła do matki. Ile się matka namodliła, ile się naczekała! Wysłała paczkę, nie dotarła ona z powodu wojny. Żle być prawnikiem. Wiedziałam, że nie wolno o niczym pisać, dlatego napisałam kilka suchych zdań, a mogła wysłać inny list. A tak naprawdę, nie wierzyłam, że list wyślą. Ja im przez całe 6 lat nie wierzyłam.

I była jeszcze jedna farsa. Leczone nas na świerzb, którego nie miałyśmy.

Wojna wybuchła 22 czerwca 1941 r. - Niemcy napadły na Rosję. Zraz o tym wiedzieliśmy i żyliśmy tylko wypadkami wojennymi. Dużo osób zaaresztowano - najczęściej za gadanie i za niezaciemnianie okien ("dawali znak Niemcom" - zarzut szpiegostwa). Przeniesiono nas niektórych do innej celi, bardzo ciasnej, o drewnianej podłodze, na której leżeliśmy i to nie wszystkie ale połowa leżała na jeden bok obrócona, a połowa siedziała skurczona. Tam młoda a mądra pani docent miała wykłady o archeologii.

Niemiec szybko szedł naprzód, atakował z ziemi i z powietrza. W pierwszej połowie lipca zbliżał się do Kijowa. Na "Łukianówkę" spadły bomby, zniszczyły jej część. Wyprowadzono nas wtedy na dziedziniec: była noc, pożary, tłum więźniów. Odczytano, że mobilizacja, że amnestia na niższe wyroki. W więzieniu zostają polityczni i więźniowie o wielkich wyrokach. Rankiem załadowano nas na odkryte auta ciężarowe i wywieziono tylko za miasto, za Dniepr. Po raz pierwszy i ostatni widziałam Kijów, stare miasto na wzgórzu, o wielu kopulastych cerkwiach i wielu ogrodach, prześlicznych drogach na most nad Dnieprem, wielką błękitną rzeką. Ulice zatłoczone były ludźmi: żołnierzami - uciekinierzy - "bożeńcy", rozmaitego rodzaju pojazdy (widzę z góry jak z lotu ptaka łuk dróg, a w dole niebieską rzekę wśród zieleni, nie wiem - łąk, pól czy ogrodów).

Za Dnieprem wyrzucono nas z wielu ~~aut~~ ^{aut}, powiedziano, że dalej idziemy pieszo. Były też wielkie słowa o wojnie "ojczyźnianej". Pierwszy raz usłyszałam od bolszewików słowo wyszydzane - ojczyzna. I szłam pieszo przez Ukrainę do ^{Konotop - of. Sumy} Konotopel. Tam 15 sierpnia załadowano nas na lory towarowe. Szliśmy razem około 1700 ludzi, pilnowani przez ukraińskich strażników. Byliśmy polityczni, znani sobie i jeszcze inni, z którymi prędko zaznajomiliśmy się. Z wyrokami śmierci nie było - rozstrzelali ich w Kijowie. Na garść politycznych, setki prawdziwych kryminalistów i to z wielkimi wyrokami. Byłam z tymi ludźmi od lipca 1941 do lutego 1942, to znaczy 8 miesięcy i przekonałam się, że to ludzie tacy sami jak na wolności, z dobrymi cechami i ze złościami, a bardzo nieszczęśliwi, bo wyrwani ze środowiska, od rodzin. Poślądzili, ale więzienie ich nie naprawiło. Jest świetne określenie rosyjskie: "popali w tiurmu". Nam nie zrobili najmniejszej krzywdy, ani mężczyźni ani kobiety. Między sobą bili się, aż ich strażnicy rozdzielali. Jakby czuli, że Polacy to inna kategoria ludzi, a Polacy odpowiednio się zachowywali. Byliśmy dla nich bardzo grzeczni, nie ciskaaliśmy się do rozdziałów chleba czy wody, braliśmy ostatni. Nie raz aż strażnik interweniował - A teraz Polaczki!

Wszystkich upoiła względna swoboda, kontakt z przyrodą, słońcem. A słońce piekło niemiłosiernie - był lipiec. Niosliśmy cały dobytek ze sobą: z większych rzeczy koc, płaszcz, sukienki, bieliznę. Po naradzie zdecydowaliśmy, że choć gorąco, włożymy płaszcze na siebie, w koce zawiniemy "wsio", włożymy je jak plecak i to będzie najłatwiejszy sposób naszego wędrowania. Te płaszcze nas uratowały. Rosjanki rozebrały się, szły w stanikach, po paru dniach były niemiłosiernie poparzone. Zaczęłyśmy chorować na kurzą ślepotę, twarze nasze puchły i od zmroku nie widziałyśmy. Te, które widziały, pełniły z oddaniem rolę sióstr miłosierdzia.

Przez dzień szłyśmy. Pamiętam szerokie, bardzo szerokie drogi pełne kurzu, a po obu stronach przeróżne zboża. Kwitły kwiaty. Piękna jest Ukraina. Szłyśmy od wioski do wioski, nie gościńcem, a bokiem; na gościńce padały bomby. Spałyśmy w państwowych gospodarstwach rolnych (P.G.R.), które miały ogromne stodoły w tym czasie puste. Kładłyśmy się pokotem na ziemi, Polki razem, ja od kraju, za towarzysza wybrałam sobie starego dziaduszkę i wszystko było dobrze. Ale zdarzyła się taka scena. W nocy do Maruszki, ślicznej czarniutkiej dziewczyny, która leżała jakoś oddzielnie, przyszedł strażnik. Rozbudzona dziewczyna zorientowała się i nie wiele myśląc, uderzyła go w twarz, mówiąc coś po polsku. Zdziwiony strażnik powiedział: Ty Polczka! Izwiniaju (przepraszam). I poszedł dalej. Miał tyle chętnych kobiet. W nocy trzeba było nakryć głowę kocem, aby nie widzieć i nie słyszeć. Nieraz spałyśmy pod gołym niebem. Doskonale pamiętam noc w kartoflach. Spałam w bruzdzie, a bruzdy po deszczu były napełnione wodą. Myłyśmy się po drodze, gdy była rzeka lub staw. O mamę moją, któraś przestrzegała kąpieli w czystej wodzie, jakie choroby i rany płucały się w brudnej wodzie i tę wodę piłyśmy, piłyśmy z rozkoszą. Załatwiałyśmy się po drodze, jedliśmy po drodze. Rano dostawałyśmy wielki bochenek chleba na cały dzień. Nie przypominam sobie, aby chleb był z czymś. Ludzie władzc "zakluczanych" rzucali nieraz jarzyny: marchew, ogórki, pomidory, ale te jarzyny nie dostawały się do rąk polskich, czasami tylko cebula, bo na nią nie było amatorów. Jaki ten chleb był smaczny, wiejski, nie "kaszonny". Jadłyśmy go całymi dniami, a jak zos awał, oddawałyśmy mężczyźnie, zawsze głodnym. Znam pragnienie. Pragnienie gorsze jest od głodu. W tej spiekocie bardzo chciało się pić. A pojono nas dwa razy dziennie: rano i wieczorem, jak bydlę w P.G.R. Rano piłyśmy niewiele. Mając doświadczenie harcerskie nakazywałam pić "na przymus", aby

potem mniej cierpieć. W upalne dnię dręczyło nas pragnienie. Gdy zatrzyaliśmy się wieczorem w P.G.R., ludzie jak dzikie zwierzęta rzucali się do poideł. Wtedy wybuchały awantury, bójki. Polacy pili na ostatku. I wtedy poznałam wartość silnej woli człowieka. Mogłam podać naczynie z wodą innej osobie i zaproponować: Napij się pierwsza. I była wielka wewnętrzna radość z opanowania siebie. To jest największe, choć najcichsze zwycięstwo: pokonać siebie.

Pamiętam taką scenę. Po upalnym dniu byłam bardzo spragnioną. Wreszcie miska doszła do mnie. Widzę tę miskę, białą od wewnątrz, kolorową (niebieską) od zewnątrz, pełną wody. Przykładam usta, nie odrywając ich, piję, piję jak ... Zagłoba. Ile wypilałam, może 3 litry, może więcej, bez odetchnięcia, bez najmniejszej przerwy. A smak tej wody, jedyny, pamiętam już przeszło 40 lat.

Jednej nocy padły w pobliżu nas bomby - znak, że nieprzyjaciel posuwa się. Innaej nocy - spałyśmy wtenczas pod gołym niebem - nadleciały 3 samoloty i walczyły ze sobą. Jeden z samolotów został zestrzelony. Leżałyśmy nieruchome obserwując. Strażnicy podobno uciekli, a wrócili po skończonej walce. Nie uciekaliśmy, nie próbowaliśmy uciekać. Ogłoszono nam, że za każde nieposłuszeństwo, za próbę ucieczki, kula w łeb. A każdy chce żyć, choć w najgorszych warunkach.

Byłam świadkiem takiego zdarzenia. Gdzieś chwilę odpoczywaliśmy. Był mały strumyk, parę kroków poza strumykiem strażnik, my siedziałyśmy gdzie kto mógł. Dziewczyna rosyjska, może dziesięcioletnia, podeszła z małym garnuszkiem i poprosiła o wodę ze strumyka. Żołnierz odmówił. Wtedy dziewczynka, nie wracając do matki, przeszła kilka kroków w bok i próbowała dosięgnąć wody garnuszkiem. Widzę ją dokładnie, jej uśmiech i nieco przekorny błysk oczu. W tej chwili rozległ się strzał. Dziecko upadło, nogi uderzyły kilka razy o ziemię i zniechęciły. Nie pamiętam rozpaczy tej matki. Pamiętam nasze odrętwienie. Trup dziecka leżał, tylko odsunięto go nieco dalej od nas. I tak zostawiliśmy go, bez pochowania, bez ucałowania najbliższych. Myślę, że dobrzy ludzie po naszym odejściu, zakopali to dziecko, że nie włożyły je psy.

Kto nie mógł iść, był zabijany (każdy więc, choć ostatnim tchem, włókł się). Nie było innego wyjścia, albo zginąć, albo zostać doprowadzony do więzienia. Ale gdzie to nasze więzienie, gdzie ono? Nie wiedzieliśmy wtedy, że w centrum Azji, koło Irkucka.

Nie pamiętam kiedy to było. Wieczorem w P.G.R.-e wezwano kobiety polityczne. Oddzielano starsze, młodszych zapytano o choroby. Była quasi komisja, 3 wojskowych, jeden zapewne doktor. Powiedziałam, że

jestem zdrowa; raz, że jako harcerka nie składałam, po drugie zrodziła się myśl, że niezdolnych do pracy mogą zabijać. Kilka młodych powiedziało, że są zdrowe; Haneczka chciała być ze mną, ale Czosnowicz ciągnęła ją za sobą. Czosnowicz mówiła coś o wątrobie, migdałkach. Komisja dużo nie sprawdzała, zadowolili się oglądaniem i pisała. Szybko nas załatwili. Rozdzielili na dwie grupy: 1/ starzy i chorzy, 2/ zdrowe. Grupa zdrowych w łuczbie kilkunastu dołączyła do zwykłych kryminalistów. Tam po raz ostatni widziałam drogą mi Haneczkę. Po wojnie dowiedziałam się, że ta grupa "błądziła" po Ukrainie, że została wyzwolona, chyba przez Niemców i wysłana (ja im cudem?) do Anglii. W Anglii Haneczka spotkała swego narzeczonego lotnika i wyszła za niego za mąż. Dzięki Bogu, że tym ludziom, głównie starszym, zaoszczędzono męki Syberii.

Szliśmy. Jadłam z jednej miski z Cyganką, która miała straszne rany na nogach - gnęła na syfilis. Zaczęła ^{boleć} mnie noga. Naruszyłam ścięgna w prawej stopie. Ból wzmaczał się, każdy krok był bolesny. Wtedy myślałam o jednym, aby iść, aby tylko iść. Nie chciałam być dobitą na rosyjskiej ziemi. Tak gorąco modliłam się do Matki Bożej. I łączyłam się z bolesną Drogą Krzyżową Pana Jezusa, bo też nie mógł iść, upadał. Wiedziałam też, że długo już nie pójdę. I 15.VIII byłą Konotopel. W Konotopel zakomunikowano nam, że dalej pojedziemy. Czy ustała silna wola, czy ból się zwiększył, nie mogłam już zrobić ani jednego kroku. I wtedy współtowarzyszkę niesły mnie na dworzec. Wniosły mnie do lory towarowej. Jak zawsze dziękuję tym polskim dziewczętom dzięki nim żyję.

Podstawione lory były bez dachu i miały garby. Nie można było leżeć w i bruździe, bo była za ciasna, na jedną osobę przypadała jedna bruźda i jeden garb. Naturalnie garb odbijał się na ciele. Zascieliliśmy nasze koce, trochę było lepiej. Siedziałyśmy, leżałyśmy, oglądałyśmy świat. W każdym mieście strażnicy chodzili do więzienia, aby nas "zdać". Nikt nas nie przyjmował, więzienia były całkiem załadowane. Strażnicy byli źli. Opuścili Ukrainę, rodziny, martwili się o ich los, a musieli nas wieźć i nie wiadomo dokąd. Żywili nas chlebem znów wydzielanym, margaryną i rybą. Do picia była surowa woda, niekiedy brudna. Pierwsza zachorowała ^{na} "panos" - krwawą biegunkę. Jest ona częsta w Rosji. Leżałam i modliłam się, aby nie umrzeć i nie być wyrzuconą z pociągu. Tak robiono. Nie było doktora, nie było lekarza. Przypomniały mi się słowa matki: nie wolno przy biegunce pić surowej wody. I nie piłam, choć miałam wysoką gorączkę, choć

miałam ogromną gorączkę i pragnienie. Majaczyłam, widziałam wielkie rzeki, stawy, wodospady, słyszałam szum górskich potoków. Wody nie piłam. Współwięźniarki upominały się stale o wodę dla mnie. Na każdej rosyjskiej stacji jest gotowana woda - kipiatok. Jest na zewnątrz, można jej nabrać za darmo. I nikt nie dał mi kropli gotowanej wody. Tylko 1 strażnik Tatar przyniósł wiadro surowej, brudnej, aż ciemnej wody - może ją zaczerpnął z rowu lub jakiejś kałuży - odciął kobiety i rzekł z powagą: "Eto dla bolnoj". Chyba swej silnej woli zawdzięczam, że nie umarłam, choć leżałam jak nieżywa. Dlatego nie pamiętam prześliwionych krajobrazów - pamiętam je z drogi powrotnej. Dlatego też nie pamiętam przejścia do innego pociągu. Ten inny pociąg miał normalne wagony z podwójnymi miejscami leżącymi. Naturalnie Rosjanki zajęły te miejsca, nam dostały się najgorsze, na ziemi, ciasne, pod pryzmami. Tam leżałam chora, brudna. Z brudu dostałyśmy przeróżne choroby skórne, suche i mokre. Najgorszy był świerzb. Miałam go po całym ciele, najwięcej w pasie. Niczym nie leczony atakował wszystkie. Drapałyśmy się niemożliwie. W tym pociągu zaczęły i inne chorować na biegunkę. Ale one nie umiały opanować się i piły, piły całymi garczkami surową wodę. Musiałyśmy je pilnować. Pamiętam jak złapałam na takim uczynku śliczną Marusię z dwoma długimi warkoczami czarnymi. Marusia dojechała Aleksandrowskiego Centrału, ale wkrótce zmarła. Po niej zmarło jeszcze kilka.

We wrześniu byłyśmy w Irkucku. Więzienie irkuckie też nas nie przyjęło, przyjął nas Aleksandrowski Centrał. Jest to więzienie z czasów cara Aleksandra, w samej tajdze. Dojechać tam można tylko wodą - rzeką Angarą. Płynęliśmy więc barkami, ale przed tym, pewnie z dworca kolejowego, jechaliśmy na przystań autami ciężarowymi, osłoniętymi płótnem. Każdy myślał - towar wiozą. Z tej drogi wodnej niewiele pamiętam, byłam chora. Pamiętam tylko ogromną roztocz wody - takie są rzeki syberyjskie, zupełnie niepodobne do polskich czy europejskich. Za dnia dopłynęliśmy do Centrału. Z daleka zobaczyłam więzienny budynek, tylko o wiele większy, ogrodzenia i znajome wieżyczki z wartownikami. Zaczęły się zwykłe ceremonie przy przyjmowaniu: rewizja sprawdzanie dokumentów, łaźnia i dezynfekcja, wreszcie wejście na celę. Cella była ogromna, chyba z łózkami dwupiętrowymi, a może i trzypiętrowymi. Miała około 200 mieszkanek; szumiąco w niej jak w ulu. Wyznaczono nam miejsca niedaleko okna. A okien było wiele, zupełnie niezastłoniętych, z widokiem na tajgę, na blade wrześniowe niebo.

Najgorsze, że nie mogłam jeść. Gdy widziałam chleb lub zupę, słynne szczy (zupa z kiszzonego czosnku, który rośnie w tajdze) zęby

zwierały się konwulsyjnie i nie mogłam je otworzyć. A inne były strasznie głodne. W A-Centrale panował głód. Zmniejszono przydział chleba, zupa była czystą wodą. Wielkie miał szczęście ten, kto wyłowił z niej kawałek ziemniaka lub krupę. Moje towarzyszkę orzekły, że jak nie będę jadła, to umrę i nie doczekam Polski. Obiecałam im, że codziennie zjem kawałek chleba. Obietnicy dotrzymałam. Codziennie odkrajałam kawałek skórki, najchętniej przypalonej i przez dzień ssalam ją powoli, wreszcie połykałam. Ile się namęczyłam przy tym jedzeniu! Naturalnie bardzo schudłam, straciłam siły i urodę (miałam przeciętną, ale teraz wyglądałam na babuszkę. Po wyjściu z więzienia dawano mi lat ... 60). Ze zdziwieniem oglądałam moje ręce, podobne do suchych patyków, a zawsze, odkąd pamiętam, były pulchne i białe. Podobnie było z nogami. Ważyłam, bo nas ważono - ok 40 kg (we Lwowie ważyłam 54 kg - obecnie 60 kg). Ten chleb, przymusowo wpychany, zapewnił mi życie, choć dalej leżałam i patrzyłam na tajgę. Zaczęłam się interesować życiem celi; tyle niewiast i to po wyrokach skazujących za rozmaite przestępstwa. Wyróżniałam rozmaite ich grupy - kręgi. Na najniższym szczeblu były skazane za "pyskówki", na wyższym rozmaitego rodzaju złodziejki, na jeszcze wyższym przestępczynie osobliwe, a u szczytu morderczynie. Nazywano ją "carycą". Wysooka blondyna, dobrze zbudowana, o zimnych, złych oczach. Siedziała rozebrana na kółku, a koło niej pełno zasłuchanych kobiet. "Caryca" lubiła opowiadać. Opowiadała o swoim życiu, o swoich morderstwach (była 3-krotną recydywistką, brała udział w rabunkach połączonych z morderstwem) i o swojej córeczce. Tylko, gdy mówiła o córce, oczy jej miękły, nabierały ludzkiego wyrazu. Córka za dobrą opłatą chowała się u dobrych ludzi, nie wiedziała całej prawdy o matce. Czy "caryca" mówiła prawdę? Bie wiem. Wiem, że lubiła imponować, mieć władzę. Wszystkie jej słuchały. Polityczne też nie kwestionowały rządów "carycy", zresztą, co by było, gdyby nie jej władza. Żaden strażnik nie utrzymałby porządku ni karności. Opowiadano mi o znęcaniu się więźniów nad więźniami, nawet o mordowaniu. Mord czekał za największe przestępstwo więzienne - kradzież pajki chleba. "Caryca" nas pooglądała, zaprosiła do siebie. Jak ona umiała grać rolę carycy! A ponieważ nie wzbudziłyśmy jej zainteresowania - nie miałyśmy rzeczy, które jej się podobały - kontakty nasze były obojętne, nawet chłodne. Myślę, że "caryca" dostała od Polek jakiś prezent, że zostawiła nas w spokoju. Ja tego nie zrobiłam, nie przyszło mi to do głowy, ale były ode mnie mądrzejsze.

Raz "caryca" ujęła się za nami. Jednej z Polek zginął liwczyk - staniczek. Musiał ktoś ukraść. Poszkodowana nie ^{wiele} się namyslała, wniosła skargę do "carycy". "Caryca" ogłosiła: - do wieczora liwczyk ma być oddany. Trzeba było "carycę" widzieć; jej ziane oczy, i słyszeć jej głos twardy i rozkazujący. Przemówienie zakończyła groźnym szeptem: ubiju - zabiję. Strach padł na całą. Kobiety zawsze rozgadane lub roześmiane, , swarliwe, przycichły. Do wieczora liwczyk był zwrócony. Właścicielka znalazła go pod kocem swego łóżka.

Jednego dnia ścięli nam włosy, maszynką na 0.

Nienka z Krymu opowiadała stale o narodzeniu Pana Jezusa.

Nastaly chłody. W celi było ciepło. Przy jednej ścianie, na środku przechodził komin, który grzał. Zawsze przy nim na trzech kondygnacjach stały kobiety w liwczykach. Myślałam, że ^{im} ~~nie~~ nie było tak gorąco, tylko chciały pokazać liwczyki. Były jak dzieci. Gdy im się coś podobało, to chciały mieć. Albo prosiły, albo kradły. Gdy coś miały, chętnie się dzieliły, lubiły śpiewać, śmiać się, żartować. Tyle kobiet pobawionych męża, dzieci, domu.

Przyszły święta Bożego Narodzenia, jakże inne niż w Kijowie. Tam było święto całej celi, była choinka z brzoźowej mietły, były kolędy, były kanapki dla wszystkich. Święta całą gębą. Tutaj w A. Centralne obchodziłyśmy uroczystość w gronie 7 osób, składałyśmy sobie życzenia dzieląc się chlebem, cichutko śpiewałyśmy kolędy. Ale i tutaj Dzieciątko Boże było z miłością powitane. Ja czułam się lepiej. Już nieco jadłam, chodziłam.

Przyszła wiadomość do celi, że Polacy idą na wolność. Należeliśmy zrozumieć, dlaczego idą jak wojna nieskończona? Zaraz po świętach wywołano Polki z wieszczkami - ze swoimi rzeczami. Do celi nie wróciły. Czyżby naprawdę poszły na wolność? Za parę dni wywołano i mnie z wieszczkami. Na dziedzińcu więziennym stały woty obciążone płótnem na saniach. Ładowano nas ciasno, potem wrzucono na nas wiele kożuchów, pewnie brudnych i transport ruszył. Domyslałam się, że po zamkniętej racie Angarze, bo innej drogi nie było. Jak czułyśmy się w tym wozie? Ano nie podusiliśmy się, ani nie pozarzły.

Przyjeżdżałyśmy do obozu pracy niedaleko Irkucka. Ten obóz pracy obsługiwał cegielnię. Byłam w nim do 20 lutego. Mieszkałyśmy w barakach drewnianych, w izbach z dwupiętrowymi łóżkami. Nie pamiętam życia w tych izbach. Wychodziłyśmy rano do pracy może o 6 lub 7 - zimą na Syberii rozwidnia się późno, chyba o godzinie 9-tej - wracałyśmy może o 18. Byłyśmy tak zmęczone, że chciałyśmy tylko leżeć i

spaść. Miałymy tylko koce, było zimno. Leżałam między marusią ze Sewastopola na Krymie, studentką uniwersytetu, a młodą prostą Ukrainką. Ta Ukrainka okryła mnie kożuchem i okrywała mię przez cały pobyt w tym obozie. Niech Bóg wynagrodzi jej dobre serce. Nie marzłam, było mi naprawdę ciepło. W całym baraku były pluskwy, mnóstwo wielkich, czerwonych, najedzonych, cuchnących. One tylko żaziły, ale nie żarły nas. tłumaczono mi, że to są pluskwy drzewne, że one nie gryzą, żeby się nie bała, ani nie brzydziła. Jakoś nie mogłam nabrać serca do "poziomek" spacerujących po podłodze, ścianach, suficie, łózkach i po nas. Ale nie pamiętam, żeby mnie która ugryzła. A pluskwy lubią mnie bardzo - ile ja męczarni przeżyłam na kwitku po amnestii - jakie herkulesowe boje staczałam w obronie dzieci i siebie. Najgorszym problemem był brak wody. Coś się w "rurach" zepsuło, nie było wody do picia, do mycia, nieczynna była łaźnia. Tak było przez cały mój pobyt w obozie pracy tzn. blisko 2 miesiące. Myłyśmy coży i ręce śniegiem. Z biegiem dni przyzwyczaiłyśmy się do smrodu swego i swoich towarzyszek. Bo przecież musiałyśmy cuchnąć niessmowicie. Nawet jestem autorką stwierdzenia, które nieraz w Polsce wygłaszałam: "z tą czystością jest dziwnie. Im się więcej myjesz, tym jesteś wrażliwszy na najdrobniejszy pyłek. Gdy się nie myjesz, brud zasycha na tobie, robisz się coraz brudniejszy, ale odporniejszy nań". W obozie pracy byłam jedną, jedyną Polką. Mówiłam tylko po rosyjsku (zawsze mówiłam, że nie miałam dobrego akcentu). Wysłuchiłam historii mojej współtowarzyszki Marysi. Miała męża i małą córkę. Była polityczna - siedziała za tajną organizację, która chciała budować prawdziwy komunizm a znieść wszystkie jego wypaczenia i deformacje w Rosji. Jaką ładną była Marusia: Bułgarka o czarnych długich włosach i czarnych oczach. Miała białe wełniane sweterki, dużo ciepłej bielizny. Dostawała paczki z jedzeniem. Ktoś bardzo dbał o nią. Zaliczono ją zaraz do pracujących ponad normę i dostawała inne, dużo lepsze jedzenie. Mówiła, że nie da siebie zniszczyć, że musi doczekać innych czasów, że to już niedługo. Nie pamiętam jaki miała wyrok, gdyby najmniejszy to 5 lat. Czy doczekałaś wolności, Marusiu, czy zobaczyłaś cię mąż i twoja córeczka? Gdy się zapomniałam, mówiłam do niej po polsku - do kogoś miałam mówić w rodzonym języku?

Cała obłaść irkuckaja jeset jednym wielkim obozem, więcej tam obozów niż wolnych ludzi.

Praca jest najwyższą wartością w komunizmie, w Rosji. Dlatego wychowanie jest realizowane przez pracę. Najcięższą karą jest pozbawienie pracy. Przestępców (ludzi skazanych prawomocnymi wyrokami sądowy-

mi) wychowuje się, przemienia się przez pracę. Jakie piękne zasady, a w naszym przypadku wyglądało to następująco: w każdy dzień - nie było święta, myślę zniesiono je z powodu wojny, pracowałyśmy 8 godzin, a może 10 - plus 2 razy doście 1 lub 2 godziny, plus przerwa obiadowa 1 lub 2 godziny. Razem 12 godzin byłyśmy poza barakami. Pracowałyśmy w cegielni, wynosiłyśmy cegłę na plac. Naturalnie pracowałyśmy rękoma. Niektóre miały drewniane "nosiłki" - kilka desek zbitych od dołu, zabezpieczonych deseczką. "Nosiłki" wkładało się na plecy, podtrzymywało z tyłu obiema rękoma. Widziałam te "nosiłki", nigdy ich nie miałam, tylko nieliczni mieli szczęście je posiadać. Normą było wynieść na plac kilka tysięcy cegieł dziennie. Ja wynosiłam pewnie kilka setek. Byłam tak słabą, że cegły nie mogłam podnieść jedną ręką (były tylko cegły pełne), musiałam dwoma rękami. Niosłam zaś na plac oddalony około 200 - 300 m tylko 4 lub 5 cegieł. Muszę wyznać, że nie bito mnie, nie krzyczano - ogół też nie wyrabiał normy - tylko zaliczono do słabosiłków, to znaczy ludzi mało produktywnych, najskrajiej odżywianych. Znow była paczka chleba na dzień, kawa rano i wieczór i wodnista zupa w południe.

A teraz rewelacja! Ta praca dokonywała się na dworze, na polu, przy mrozie - 40 - 50° C. Przez godzinę było przyjemnie, śnieg skrzył się, powietrze było czyste, krystalicznie czyste. Ale potem gryzł mróz. Nie można było usiąść, pogadać, trzeba było się ruszać, chodzić, aby nie zamarznąć. Dostałyśmy do pracy spodnie watowane i fufajki - watowane kurtki. Nie było mi w tych spodniach ciepło. Zaraz też z mojego polskiego koca przysłanego mi przez siostrę do więzienia, użyłam spodnie. Krawałam szklę, szyła, sznurkiem i jakąś okropną igłą. W tych npwych spodniach nie umarzałam - szkoda że ich nie mam, mogłyby wzbudzić sensację na konkursach mody.

Ogół pracował na połowie normy a kto wymyślił tę normę, przecież nie dla ludzi zdrowych, wyposażonych, ale dla więźniów źle odzianych, źle odżywionych? Mała część nie nadążała tak jak i ja, mała część wyrabiała normę, a kilka przekraczało ją. Pamiętam dobrze jedną, bodajże Estonkę, kxg jak szybko biegła z cegłą w nosiłkach. A cegle miała tyle, że sterczały wysoko nad jej głową. Z uznaniem mówili o niej naczelnicy, stawiali nam ją za wzór. I byłam świadkiem, naocznym świadkiem, jak Estonka ze swoim wielkim ciężarem padła i jak jej nogi zaczęły kopać ziemię. Zmarła przy ustanawianiu nowej, większej normy. Czy to chwala, czy to dziwactwo, czy starszne, ale to straszne okrucieństwo wobec ludzi całkowicie bezbronnych a skazanych na morderczą pracę za kęs chleba. Dziś, gdy czytam, jak na Angarze buduje się zapo-

rę, jak buduje się nowy odcinek drogi kolejowej, dostają dreszczy. Przecież ta ptaca jest przy 40, czy 50 stopni mrozu. Wolni dostają pieniądze, podobno dużo zarabiają, mają ciepłe baraki. Ale zakłuczeni? Boże, jesteś cierpliwy, bardzo cierpliwy... Odpowiedzią jest powiedzenie rosyjskie "u nas ludzi chwytają" - wystarczy im ludzi, braknie tych, będą inni. I mówią to spokojnie, z uśmiechem. Co dla nich znaczy los pojedynczego człowieka? Ważny jest Związek Radziecki i partia, dążenie zapanowania nad całym światem. I każdy człowiek jest podejrzany, że nie sprzyja komunizmowi, że jest wrogiem. Najgorsze przestępstwo - wróg ludu. Wielkim przestępstwem jest niechęć do pracy, sanotyzm. pod ten paragraf podciągają tych, którzy z jakiegokolwiek względów nie wychodzą do pracy. Nazywają ich "odżałwezyki", nie dają im jeść. Widziałam grupę Rumunów, półprzytomnych, wyjętych z głodu i zima. Musieli im odebrać ciepłe ubrania, mieli na sobie swoje cienkie płaszcze. Strażnicy śmieli się z nich, bili ich, przezywali. Na drugi dzień już ich nie widziałam. Jeżeli zostali na noc, na polu, to zamarli.

Drugiego dnia pobytu w wychowawczym obozie pracy miałam następujące zdarzenie. Na śniadanie przyszedłam bez naczyń. Zorientowałam się, że każdy w kolejce ma naczynie rozmaitego kształtu i koloru, ale miał. Dostałam chleb, kawy się nie napiłam. Gdy chciałam się posilić samym chlebem, podszedł jakiś, wydawało mi się, mały człowiek i powiedział, że za pajkę chleba mogę mieć miskę. Pokazał mi całkiem przyzwoitą miskę. Bez targu dałam pajkę chleba i poszłam po kawę. Wydająca wzięła miskę, popatrzyła na mnie i rzekła: eto nasza - i odstawiła ją na bok. Byłam bez chleba i bez miski. Rozglądałam się za człowiekiem, który mnie tak urządził - naturalnie ulotnił się. Takie było "frycowe" na obozie k/ Irkucka. W głodnym dusie postarałam się o swoją miskę. Na dziedzińcu leżały puszki od konserw. Wyjęłam najlepszą, wygładziłam otwór, wyszorowałam piaskiem i śniegiem. Miałam swoją zastawę stołową. I tak się do niej przywiązałam, że nie oddałam jej w Irkucku, choć przyjemna p. doktor chciała mi dać inne naczynie. Nie byłam już ja głupia, może ofiarowała mi kradzione naczynie? I z moją puszką byłam 4 lata na Kwitku i z tą puszką przyjechałam do Polski. Dopiero w Polsce rozstałam się z nią.

Rozmowa z wychowawcą politycznym: czy mnie nie dotyczy amnestia. Odpowiedział, że nie.

W lutym wrócił ból nóg. Nie mogłam chodzić. Lekarka powiedziała: Eto niczewe. One dają zwolnienie gdy jest silna gorączka. Do pracy chodziłam w ostatnim szeregu, potem zostawałam - naturalnie z jednym strażnikiem, który był z tego powodu bardzo niezadowolony. Po prostu wlokłam się. Już wiedziałam, że niedługo nogi mnie nie uniosą. Modliłam się, aby nie dobito mnie w drodze. I przyszła gorączka, silna gorączka. Może przeziębiam się w tym strasznym mrozie, a może organizm wyniszczony od pół roku, na krótko wzmocniony dobrym, leczniczym powietrzem syberyjskim, załamak się ostatecznie. Okazało się, że to był panos. Mając wysoką temperaturę byłam silną. Stałam długo w kolejce do p. doktor. Wreszcie powiedziano nam, że p. doktor nie przyjdzie, że dziś nie ma żadnych zwolnień. Na tę wiadomość zachwiałam się. Wiedziałam, że jeśli jutro nie pójdę do pracy, będę odkażawczykiem i spotka mnie los Rumunów. Oparłam się o ścianę, zamknęłam oczy i powiedziałam: ze mną koniec, a potem powtarzałam bezustannie tępo: Matko Boża, Matko Boża... Nie wiem jak doszłam do swego posłania, nie wiem jak spałam. Nazajutrz wcześniej przyszedł strażnik po mnie, miałam iść z wieszczami. Wyjechałam z obozu na gęgiach - cegły te jechały do Irkucka. Naturalnie jechał ze mną strażnik, który zdał mnie w Irkucku więzieniu. Nie wzięli mnie do łaźni, bo była nieczynna, nie wzięli do celi, ale do ... szpitala więziennego. Łednie musiałam wyglądać: chuda, rozpalona silną gorączką, niesamowicie brudna, ostrzyżona na 0, z wystraszonymi oczyma. Te oczy uderzyły wszystkich na kwitku. Wydaje mi się, że zostało w nich przeżalenie ostatnich dni w obozie pracy, że się kończą w dalekiej Azji, wśród obcych mi ludzi.

Brudna leżałam w szpitalu. Chyba nazajutrz wywołano mnie na badania do ślęzego - odpowiadałam, że jestem chora. Przywołana doktorka powiedziała, że mogę jechać. Może wiedziała, że chodzi o zwolnienie. Śledztwo było zdawkowe, raczej chodziło o dane personalne. Byłam wzywana ze szpitala 3 razy na przesłuchanie. Za drugim razem zadałam pytanie, czy przesłuchania mają związek z amnestią. Sędzia odpowiedział uroczyście, a tajemniczo: Ruszyli wapros (podjęli problem). Za trzecim razem sędzia tłumaczył mi o przyjaźni narodu rosyjskiego z narodem polskim, że zostało zawarte przymierze przeciw Niemcom, że Polacy bardzo cierpią, ale Niemiec zostanie pobity. Nic mu nie wierzyłam, a przyjaźń narodu rosyjskiego miałam wypisaną na własnym ciele. Widząc moje niedowierzenie pokazał mi gazety, które mówiły o Wojsku Polskim. Nic gazetom nie wierzyłam: Eto wasze pisma. Widziałam ich zdumione spojrzenia. Popatrzyli na siebie i musieli

edycja?

2 mnie uznać za "zumaszczną" (pomyloną). Może to zadecydowało o moim wypuszczeniu. W szpitalu byłam pierwszy i ostatni raz w życiu. Karmiono mię jednorodzajowym jedzeniem, zdaje się serem. A więc miałam znów "panos", może zaraziłam się od którejś współwięzniarki. Ponieważ przestrzegałam diety, panos minął, ale byłam bardzo słaba.

"o lutego zawołano mię z rzeczami, odczytano, że amnestia mię dotyczy i że idę na wolność. I zaczęło się. Powiedziałam, że jestem chora i że chcę wrócić do szpitala, aby podleczyć się. Bałam się też mrozów, był luty. Wezwano doktora, który orzekł, że mogę jechać. Zapytano, gdzie chcę jechać. Odpowiedziałam, że do Polski. Objasniono, że front jest w Rosji, że do Polski nie dojadę. Odpowiedziałam, że chcę jechać do Polaków w Rosji. Amnestionowani nie mogli zatrzymać się w Irkucku. Irkuck, duże miasto nad Angorą, nie życzył sobie takich gości. Wtedy wypisano mi na papierze nazwę Tajszet, miasto między Niżną a Irkuckiem, dano tyle rubli, ile wynosił bilet do Tajszetu, dano jedzenie na trzy dni: chleb, margarynę i konserwę rybną. Zajechała furmanka - jednak widzieli, że jestem chora, że mogę upaść pod bramą więzienia. Dlatego wyjechałam 20 lutego 1942 r. w południe na furmance. Widzę podwórze więziennicze, zwykły wóz włoński na saniach, furman i ja, pierwszy raz od 2 lat bez strażnika. Siedziałam 1 rok, 10 miesięcy i 7 dni. Otworzyła się podwójna brama więzienna, wyjechałam w nieznany, azjatycki świat.

Irkuck to największe miasto środkowej Syberii. Ma charakterystyczne bardzo szerokie ulice i drewniane trotuary. Zajechalismy pod dworzec kolejowy. Tu ze zdziwieniem zorientowałam się, że kolejka za biletami, przeważnie więźniów, też puszczonych po amnestii. Pytałam o Polaków. Nie było ich. Polaków puszczono dużo wcześniej, przecież już w lecie 1941 r. formowało się w Rosji Wojsko Polskie. Natomiast nie przyszło mi do głowy pytać o Polaków w Irkucku. Nie wolno w nim się zatrzymywać, to nie wolno. A w Irkucku był przedstawiciel Ambasady Polskiej, były ubrania, były pieniądze. Tak szczerą była przyjaźń między dwoma narodami, że chorą Polkę, skazaną za organizację i amnestionowaną wysłano w daleką podróż do tajg. Siedziałam w kolejce chyba dzień (wychodziłam tylko do ustępu i po "kipiatok"), jadłam chleb, na margarynę i ryby nie miałam ochoty, przyniosłam je na Kwitek. Na drugi dzień jechałam do Tajszetu. Przyjechałam (może za 2 dni, nie pamiętam dokładnie) w południe i zaraz poszłam do NKWD, tak jak mi kazano. Tam mi powiedziano, że Polaków nie ma w Tajszecie (kłamstwo, byli) i że Polacy są w tajdze na Kwitku, do którego dochodzi kolejka leśna, która co wieczora odjeżdżała.

Skąd miałam siły chodzić, szukać kolejki drzewnej? A jednak to robiłam, ja chora, ja, od kilku dni nie jedząca. Na ulicy w Tajszezie podszedł do mnie jakiś starszy mężczyzna, zapytał, czy ja z więzienia. Potwierdziłam. Wtedy powiedział: nie mam czasu, muszę jechać, a zabralbym was na obiad, pewnie jesteście głodni. Wsunął mi do ręki 10 rubli i szybko odszedł. A ja rozplakałam się. Pierwszy raz byłam żebraczką, której w biały dzień na ulicy daje się jałmużnę. Myślę, że ten człowiek albo sam siedział w więzieniu, albo kogoś bliskiego miał w więzieniu. Błogosławione były te pieniądze - 10 rubli. Mogłam kupić bilet do Kwitka. Uniknęłam upokorzenia - prośby o wsparcie. Jeszcze mi coś zostało, ile rubli nie pamiętam.

Kolej transsyberyjska idzie przez Niżni, Udińsk, Tajszet, Irkuck i dalej do Władysławowa^{Wosłoku}. Cała (od granicy polskiej) liczy 12.000 km. Od niej biegają kolejki drzewne. Jak mi mówiono, na Kwitku - nie sprawdziłam, mapy żadnej nie widziałam - Kwitek był na ^{wschód} południe od kolejki transsyberyjskiej, w górach Sajanach, w tajdze, w odległości 60 km od Tajszetu. Łączyła go leśna kolejka, którą zbudowali "zakluczeni". Pracowali w tajdze, ścinali drzewa, obrapiali je w tartakach, szczególnie wyspecjalizowali się w podkładach kolejowych. Towar wysyłano wagonikami do Tajszetu. Raz dziennie, głęboką nocą, przejeżdżał pociąg kolejki leśnej, który oprócz towarowych wagonów, miał wagon osobowy. Ludzie siedzieli na żelaznej podłodze, jeden przy drugim, ciasno ubici dla ciepła i ... śpiewali. Rosjanie ładnie śpiewają i często śpiewają. Polacy kłócą się, są niecierpliwi - Rosjanie przyjmują z poddaniem co los niesie i śpiewają. Często jest taki obrazek. Wszyscy na coś czekają lub jadą. A tam, na tamtych ogromnych przestrzeniach trzeba długo, bardzo długo czekać czy jechać. Po krótkiej chwili, ktoś zaczyna śpiewać. Pomału dołączają się inni. Powstaje chór 2 lub 3 głosowy, bardzo piękny. I śpiewają, pieśń płynie po pieśni. Pieśni nie są wesołe, raczej smutne - opowiadania o żołnierzu, po porzuconej dziewczynie, o matce, niewdzięcznej córki. Oddzielną kategorię stanowią pieśni więzienne. Ale tych na wolności publicznie się nie śpiewa. Są zakazane. W więzieniu śpiewają je - o ironio, w Rosji największa swoboda jest w więzieniu - ale za ich śpiewanie można otrzymać dodatkowy wymiar kary. Byłam takiego zdarzenia świadkiem.

Jechałam do Kwitka w śpiewającym wagonie i miałam sympatyczne uczucia do Rosjan. Ze wszystkich stron czułam ciepło, człowiecze ciepło. Wiedziałam, że dzięki niemu nie zmarznę, że będę żyć. Z tej

świadości rodzi się jakaś więź międzyludzka, solidarność. Czyż trzeba być na dnie nędzy, aby otrzymać poczucie braterstwa z każdym człowiekiem?

Nie pamiętam, jak w nocy dojechałam do Udaczno. Stąd trzeba było iść pieszo 5 - 6 km. Szli ze mną ludzie, ale do Kwitka rosyjskiego czy ukraińskiego. Dopiero za nim był Kwit^ók (Kwitek) polski. Sama weszłam przez dużą drewnianą bramę na polską stronę. Jak biło mi serce! A godzina była może 3 lub 4 nad ranem, czyli głęboka noc. Noce na Syberii, nawet te bezksiężycowe, są bardzo jasne, czytać można książki. Widziałam wśród wielkich zwałów śniegu skupisko baraków, z większym budynkiem pośrodku. Wstąpiłam do małego baraku, najbliższego. Długo stukałam. Wreszcie zaspany głos zapytał: kto tam. Powiedziałam - Polka, z więzienia. Drzwi się nie otworzyły. Czekałam, czekałam. Potem poszłam dalej. I znów pukałam i znów nie otworzono drzwi. I tak było kilka razy. Ogarnęło mnie przerażenie. Trzy dni ostatek sił jadę do Polaków, a oni nie pozwalają mi wejść do baraku, ogrzać bardzo już zziębnięte ciało. Wreszcie zobaczyłam w najdalszym baraku światło. Zabłysło ono jak ostatni ratunek - ktoś czuwa, ktoś zlituje się nade mną. Rzeczywiście ludzie pozwolili mi wejść, ogrzać się przy piecu-kuchni, choć podejrzliwie mnie oglądali...

Na trzeci dzień uczyłam w polskiej szkole. Stałam w baraku przed gromadą polskich dzieci i mówiłam z pamięci bunt Chmielnickiego. Na ścianie wisiał herb Polski - biały orzeł.
M i r a b i l i a D e i.

(Po amnestii, przy końcu lutego 1942 r. dostałam się do wysiedlonych Polaków z ziemi łomżyńskiej i augustowskiej. Polacy ci zajmowali 3 miejscowości (posiołki): Kwitek, Udaczne i Miejscowości te leżały w ziemi irkuckiej w rejonie Tajszet (obłasc irkucka, rejon tajszecki), w górach Sajanach, w tajdze, 60 km od Tajszetu, od drogi kolejowej transyberyjskiej. Połączone były z Tajszetem koleją wąskotorową, która raz na dobę woziła drzewo ze stacji Toporek (od Kwitka do Toporej 7 km). Znam miejscowość Kwitek, to ją opiszę. Bardzo szeroka droga. Na niej wielka drewniana brama, dzieląca Kwitek na ukraiński i polski. W Kwitku ukraińskim stały domy drewniane, małe zabudowania gospodarcze. Mieszkały w nich rodziny ukraińskie, okaleczały rodziny. Gdy Ukraina burzyła się - a czyniła to kilkakrotnie - mężczyźni zostali aresztowani i ... słuch o nich zaginął. Rodzinom nie podano, gdzie siedzą, jakie dostali wyroki, czy żyją i te rodziny wywieziono do ziemi irkuckiej. Kobiety pracowały - tam każdy musi pracować, inaczej nie dostanie chleba - stworzyły małe gospodarstwo, trzymały przeważnie kozy i kury. Dzieci chodziły do szkoły. W tej części Kwitka znajdowały się urzędy i ich budynki: szpital, szkoła, straż pożarna, chyba wiejskie rady narodowe (byłam tylko w szpitalu i w straży pożarnej).

W polskiej części Kwitka stały baraki po więźniach. Ci więźniowie wytrzebili tajgę wąskim pasem w głąb na 7 - 8 km. Był to tupik (uliczka bez wyjścia). Gdy pracowałam jako dozorca leśny, właśnie w tym tupiku ciągle miałam przed oczyma tysiące wynędzniałych istot, które waliły tajgę w ciągu krótkiego lata i długiej mroźnej zimy, a mrozy dochodzą do -60°C . Istoty te, źle odziane, źle karmione, przeciążone pracą ponad siły szybko wymierały. Uzupełniały ich nowe siły, wszak więzienia są zawsze przepełnione. To oni zbudowali baraki i klub w środku, to oni zbudowali tartak podkładów kolejowych, to oni zbudowali kolejkę wąskotorową, nie wiem czy całą, ale napewno odcinek na birię (wyrąb lasu), to oni segregowali drzewo i układali je w ogromne stosy niedaleko posiołka i na całej 8 kilometrowej drodze. Były tam kłocze modrzewiowe o metrowej średnicy, były cienkie drzewa, były i cienkie listwy sosnowe przeznaczone na zapałki. Wśród tych stosów stały budki drewniane z aparatem telefonicznym na wypadek pożaru. Pożar tajgi czy nagromadzonego drzewa to straszna rzecz.

Baraków było około 30, jedno duże, inne mniejsze, a jeszcze inne całkiem małe. Wszystkie blisko siebie. W środku stał klub z wielką

salą i sceną. W nim odbywały się zebrania, uroczystości i wybory. W klubie, z drugiej strony, mieściła się jadłodajnia, dalej sklep, w pobliżu piekarnia. W jadłodajni wydawano zupę - najczęściej z kwaśzonego czosnku, który dziko rośnie w tajdze. Trudno było doszukać się w niej ziemniaków albo tłuszczu, choć i ziemniaki i tłuszcz były przewidziane. Czasami było drugie danie: ryba goła, to znaczy bez dodatków, albo gotowana, albo wędzona, albo marynowana. Czasami na drugie danie dawano kiszzone grzyby. Widziałam jak je przygotowywano. Skupowano na jesieni i same kapelusze płukano, sypano solą do wielkich beczek, które przyciskano kamieniem, jak kapustę. Te grzyby były dobre, gdy dodaliśmy trochę cebuli i trochę oleju. W sklepie poza chlebem, nie przypominam sobie, aby był jakiś artykuł - może sól i zapałki. Chleb był bardzo zły, jak glina. Po prostu ociekał wodą. Piekarzowi chodziło o to, aby zaoszczędzić mąki. Wtedy - w czasie wojny - przydział chleba dla pracującego fizycznie wynosił na dobę 800 g, dla pracującego umysłowo 500 g, na iżywieńca (niepracującego a będące na utrzymaniu pracującego - dziecka przedszkolnego, starszaka) 100 g. Nie wolno było kupić chleba na 2 dni, stąd codziennie ścisk, tłok, wrzask. Podobno pracujący zjadali całą porcję na raz, ale mogli pracować. Gdyby zjedli porcję 2-dniową, na drugi dzień byliby słabi i nikt nie zmusiłby ich do pracy. Stąd to arcymądre zarządzenie.

Urzędy mieściły się w oddzielnym baraku. Głową był komendant, który wkrótce nauczył się po polsku. Do pomocy miał kilku buchalterów i sił kancelaryjnych. Gdy Polacy przybyli tu w początkach 1940 roku, a było ich na wymienionych posiólkach ok. 5.000 (w jednej izbie barakowej mieszkały nieraz 4 rodziny) zorganizowano z nich leśny zakład pracy. Mężczyźni pracowali w tajdze, zwozili drzewo, pracowali na szpatorestce (tartak podkładów kolejowych) oraz w ubocznych zakładach, do których należało gospodarstwo: kilkanaście koni i krów, pole pod ziemniaki i kapustę, łąki. Był też zakład mebli na stronie ukraińskiej. Kobiety, które nie miały małych dzieci, były zatrudnione jako sprzątaczkі, zmywaczki oraz w lesie przy rozmaitej robocie. Wszyscy Polacy byli podkomendanturą, nie wolno było wydalać się z Kwitka, co pewien czas trzeba było się meldować. Kiedyś tak wyglądała kara zesłania, obecnie bez winy i procesu tysiące ludzi żyło pod komendanturą z tym, że musieli pracować i każde nie wyjście do pracy ścigano jako przestępstwo i to ciężkie przestępstwo polityczne. Kwitkowski zakład wyrabiający podkłady kolejowe zaliczony był do zakładów wojskowych. Praca obowiązywała codziennie (nie

było wolnych dni), a kiedy przyszły wagony, to trzeba było załadowywać je drzewem aż do skutku, nie licząc godzin. Wynagrodzenie było bardzo słabe. Wprawdzie ceny państwowe były niskie, np. 1 kg chleba 1 rubel, ale poza chlebem niczego nie można było kupić. Zaś na czarnym rynku, to znaczy prywatnym, ceny były tak wysokie, że nie można było żadnych artykułów nabyć. Podam, co mogłam kupić z podwójnej nauczycielskiej pensji, to jest wynagrodzenia. Pobierałam miesięcznie 600 rubli. 1 kg masła kosztował prywatnie 1000 rubli. Kupowałam przede wszystkim olej, tylko olejem krasilałam zupy. Moja podwójna pensja nauczycielska starczyła tylko na olej, ziemniaki sadziłam, kapustę kradłam, jagód i grzybów dostarczała las. Za mąkę wymieniałam rzeczy. Na moją "rodzinę" potrzeba było pud mąki na miesiąc (pud = 16 kg). Ta mąka potrzebna była do zagęszczania zup, w wyjątkowych okazjach do placuszków pieczonych na blasze. O zacierce czy kluskach można było tylko marzyć....

W r. 1941 sytuacja zmieniła się. Niemcy napadli na Rosję. Polacy zawarli przymierze z Rosjanami wobec wspólnej walki z Niemcami. Uważani byli za wolnych obywateli polskich, żyjących w Rosji podlegała im jej prawem. Ustawiła komendantura. Generał Anders tworzył wojsko polskie. Wielu mężczyzn zgłosiło się do tego wojska. Wyjechało na południe, niektórzy wyjechali z rodzinami. Na posesiadkach znacznie się przerzedziło - już mieszkała w 1 izbie jedna rodzina. Polacy wyłonili samorząd - ambasadę. Inteligencja zorganizowała szkołę. Wymienię tę inteligencję jak ją pamiętam: Juszczałowscy (on chyba leśniczy, ona nauczycielka, harcerka), Borkiewiczowie (on leśniczy czy nadleśniczy, ona bez zawodu, w Polsce pracowała w radio), Helena i Władysław Dorywałscy (on inżynier leśnik, ona nauczycielka), Henryka i Stanisław Chrościelewscy (oboje nauczyciele), Genowefa Łabacka (żona nadleśniczego, bez zawodu, mąż został zabity przez wkraczające wojsko rosyjskie), Kotowicz (inżynier, poeta) (Żyd, lekarz ginekolog), Tumilowicz Michał (nauczyciel, potem przedstawiciel Polaków w Tajszecie), Marcela i Urbusiowie (leśniczy i nauczycielka). Przedstawicielem na Kwitku został Jarzębowicz, (gajowy), obdarzony talentem dyplomatycznym, dał radę Polakom i Rosjanom, dowcipkował, tańczył i pił, jak to mówią: i do tańca i do różdżki. Zorganizowano szkołę 7-klasową, liczącą ponad 300 dzieci polskich. I zaczęły się imprezy w klubie. Czyż Polacy mogą żyć bez akademii, szumnych przemówień, deklamacji i chórow. Co kto umiał, produkował.

W tym okresie dostałam się na Kwitek. Przyjechałam kolejką wąskotorową, kilka Ukraińek szybko poszło do domów, ja dowiekłam się i przez bramę Polaków zastukałam do polskich baraków. Bano się mnie. Dopiero w ostatnim baraku pozwolono mi wejść i ogrzać się przy ognisku. A rano rozeszła się wieść o mnie. Przyszła p. Porajaka (wiedza po leśniczym) i wzięła mnie do siebie. Do śmierci nie zapomnę wielkiej miednicy pełnej czystej, ciepłej wody. Umyłam się - po ilu dniach, miesiącach? Napiłam się ciepłej herbaty. Zapomniałam powiedzieć, że w okresie "przyjaźni" nadeszły paczki z Ameryki, "UNRA" przekazywała ubrania i pożywienie. Było tego dużo i wodnym stanie. Potem przydzielono mi małą kwaterę z piecykiem żelaznym i z 1 oknem. Stały tam: łóżko, stół, grzeszko i były haki wbite w deski na ubranie. Przyszły dziewczynki, mąż z V klasy: Marysia Zomana i Mała Dobrowolska. Szybko zaściłły łóżko (koce i bielizna były darem amerykańskim) oraz umyły podłogę. Ulałyśmy myś te surowe podłogi bardzo czystko, skrobiąc je siekierą. Pierwsze dary polskich dzieci: uczynność pełna prostoty, bez ciekawości, bez brutalności, oraz dobre, życzliwe uśmiechy. Nigdy wam tego nie zapomnę, drogie dziewczynki. Piszę o tym, bo chcę, aby o Was pamiętano, aby was stawiano za wzór.

Położyłam się w czystym łóżku, wolna amnestjonowana, wśród Polaków. Nad wieczorem, a wieczór tam zapadał w zimie szybko, napewno około godziny 15-16 rozległo się pukanie. Na moje zaproszenie wkroczyła dziewczynka, może 5-letnia, o jasnej buzi, jasnych włosach i wielkich, szarych, bardzo pięknych oczach. Zrobiła piękny dyg i wyracytywała: Manusia zaprasza na kluseczki. Dowiedziałam się od przesiłłego Gościa, że nazywa się Hania Dorywalska, że mieszka niedaleko i że ma mnie doprowadzić do mamy. Szybko ubrałam się i poszłam. W baraku na moje wejście podniosła się młoda kobieta w sukience z pałką, w koronie z warkocza ciemnych włosów, z pięknymi oczami małutkiej Hani, ale niebieskimi i dobrymi, życzliwym uśmiechem. Przywitałyśmy się. Była pogwarka, były i dobre kluski. Mąż pracował jako buchalter w jadalni, dlatego otrzymywał i inne potrawy, może z kuchni dla administracji. Ona, Helena Dorywalska pracowała jako nauczycielka, pomagała mężowi, chowała dwoje dzieci - trzecie, Krystyna, leżało na wielkim Kwitkowskim cennarzu - oraz pisała. Pisała wiersze, przedstawienia, tłumaczenia, realizowała wszelkie zamówienia. Miała ambicję stworzenia domu polskiego, bardzo patriotycznego, skupiającego wszelkie poczynania wysiedlonych.

Nazajutrz, domyślałam się szybkiego działania p. Dorywalskiej - odwiedzały mię rozmaite panie i zamawiały różne roboty krawieckie i

dziewiarskie. Była to forma bardzo delikatnej pomocy. Z tych zamówień mało co wykonałam. Pamiętam, że uszyłam Hani Dorywalskiej sukienkę z popielatego materiału, z karczkiem i z ładnym, białym kołnierzykiem. Ale drugiego dnia zaproponowano mi pracę w szkole, którą przyjął z wielką radością. Trzeciego dnia wkroczyłam do "szkoły". Były to sale największe w kilku barakach, w których lekcje odbywały się przed południem. Mnie dano klasy łączone - 5 i 6 razem. Obiecane mi pomoc. Miałam na tyle zdrowego rozsądku, że jako niekwalifikowana siła nie rzuciłam się na klasy łączone, po prostu rozdzieliłam je - jedną klasę uczyłam do południa, drugą po południu. I oto stałam przed moją klasą, wobec wielu wpatrzonych oczu, pod ścianą z orłem piastowskim i mówiła o buntach kozackich na Ukrainie, o atamanie Chmielnickim - taki był temat. Pamięć mi dopisywała. Dziś zastanawiam się, jaką sensacją była nowa pani z więzienia, strasznie chuda, z chustką na głowie (włosy w więzieniu miałam ścięte na 0). Ale ta pani mówiła barwnie i żywo i zainteresowała dzieci. Te dzieci były wyjątkowe. Pozbawione wszystkiego: jedzenia, ubrania, zabawek, garnęły się do szkoły, jako jedyne go źródła innego świata. Szkoła była bardzo patriotyczna, żyłyśmy Polską, tylko Polską. Na dworze mróz, zwykle - 40° C lub więcej, przed nami zwykle ciężkie prace: noszenie wody ze studni, parogodzinne piłowanie drzewa i zdobywanie jedzenia. A w szkole czytanki o Polsce, deklamacje o Polsce, pieśni o Polsce. I widziały dzieci tę Polskę wyśnioną jak raj i rwały się do Niej serca,, tylko do Niej.

Tak wyglądała moja pierwsza lekcja, a potem poszły dni pełne pracy (ciągnęłam przecież 2 klasy). Starałam się wywiązać uczciwie z przyjętych obowiązków. Wieczorem uczyłam się uczyć. Wiele dopomogli kwalifikowani nauczyciele: Helena Dorywalska, Henryka i Stanisław Chróścielewscy. Pracowałam z młodzieżą jako instruktorka harcerska, dawałam od 5 kl. gimnazjalnej korepetycje, brakowało mi metodyki. Tę metodykę podglądałam i tworzyłam swoją własną. Trudno mówić o jakiejś dobrej metodyce. Była ona przeważnie podająca, jedyną pomocą była kreda, a więc napis lub rysunek, wiersz lub pieśń. Wkrótce zasłynęłam jako rysownik i śpiewak. Głos miałam niezły, należałam do szkolnego chóru - a tutaj, na Syberii prowadziłam chór 3-głosowy! Co to nie robi konieczność, potrzeba. Natomiast zawsze moją specjalnością były świetlice i przedstawienia. Grone nauczycielskie ustaliło, że każdy nauczyciel 1 raz na miesiąc daje imprezę, np. akademię, przedstawienie lub świetlicę. Te imprezy były starannie przygotowane. Potem podam treść niektórych z nich; naprawdę były na poziomie.

W paru dniach ubrano mię. Dary przysły i były rozdzielane. Grono nauczycielskie dzieliło i dzieliło z wielkim trudem i rzetelnością. Dostałam cały przydział, nadto dodatkowe rzeczy. Np. wypadł koc na głowę, ja dostałam dwa. Dostałam płaszcz i sukienki, bieliznę, pończochy i buty. Tylko buty były niepraktyczne, europejskie. Na Syberii chodzi się w waleńkach (na całym poseszku było tylko kilka par), a w lecie chodziliśmy ...boso. Dziennik pod pachą, poważna - belfrowska mina, a stopy gołe. Pierwszy raz miałam uczucie lęku, jak dzieci zareagują. Dzieci przyjęły ten fakt zupełnie normalnie. Więc i ja, bosonogi nauczyciel, nie robiłam dramatu.

Wieczorem ubrałam się w śliczną czarną aksamitną suknię i poszłam z wizytą do Derywalskich. Był to jedyny mój występ w tej sukni. I ona i suknia ciemnowisniona i bluzka w kwiatki poszły do kołchozu za mąkę, za ziemniaki. Sybiraczki nie bardzo się kwapiły do amerykańskich ciuchów. Były praktyczne. Wolały nasze polskie ręczniki, obrusy, przedcieradła. Tylko że ja nie miałam. Dostałam też żywność. Dostałyśmy masło, ryż, mleko i jaja w proszku, cukier, mydło, tran dla dzieci i lekarstwa. Te ostatnie złożone zostały do dyspozycji lekarza. Co działo się na poseszku! Wygłodzeni ludzie zaczęli smażyć, gotować, krasid jak za najlepszych czasów. Szczególnie smażyli placki ziemniaczane na tranie lub ... oleju rycynowym. Wiedome były skutki. Rozważniejsi jedli lepiej, ale oszczędzali przewidując, że dary nie prędko powtórzą się.

Od przyścia na Kwitek zaczęłam modlić się z dziećmi. P. Porajska modliła się z dorosłymi (szczególnie z kobietami). Ja po otrzymaniu odpowiedzi, że nikt nie nauczał religii, że nikt nie ułatwiał dzieciom święcenia niedzieli, podjęłam się nauki religii i przewodzenia wspólnym modlitwom. Nikogo nie pytałam, wiedziałam co i jak mam robić. Byłam harcerką i socjalistką, miałam pobożną matkę. Na zawsze zapamiętałam słowa ks. Czesnaka na rekolekcjach: jesteście odpowiedzialni za Kościół. I jest dla mnie tajemnicą nierozwiązaną, dlatego ja uczyłam religii, a nie uczyły jej nauczycielki, które przed wojną miały misję kanoniczną. Miałam pomoc: wywożone z Polski dzieci zabierały podręczniki szkolne i książki do modlenia. Wśród darów amerykańskich były mszaliki, ewangelie. W niedzielę dzieci gromadziły się w największej sali (przychodzili też i rodzice, w późniejszej fazie i Ukraińki, stali nawet przed barakiem lub pod oknami, szczególnie gdy było święto). Ja z mszalikiem w ręku wypowiadałam ułożoną z czasem formułę: Łączymy się z Mszami św., które w tej chwili odpowiadają nam i w nich uczestniczymy. Odczytywałam z mszalika cały

tekst Mszy św., naturalnie na Ewangelię czytałam urywek Ewangelii według mego uznania, przecież nie miałam rubryceli. I mówiłam krótkie objaśnienie do Ewangelii. Na Podniesienie i Komunię klęczeliśmy. Komunia św. była duchowna, poprzeżana aktami wiary, miłości i skruchy. Tę Mszę św. urozmaicały pieśni dostosowane do pory roku, do świąt. I ja i ludzie umieliśmy mnóstwo pieśni. A dzieci uczyły się. Te nabożeństwa odprawiałam przy stole zakrytym białym obrusem (któraś pobożna kobieta ofiarowała ten skarb). Stały prawdziwe świeczniki i krzyż i religijny obraz. Ja sprzątałam po wyjściu "parafian", nawet raz bieliłam sufit i ściany. Kobiety uznały, że jest brudno i trzeba bielić. Ponieważ robiłam to pierwszy raz w życiu, więcej wapna miałam na sobie niż na suficie. Ale ściany umalowałam dobrze. W wielkie święta po odczytaniu Mszy św. była akademie religijna. Skromna, bo skromna, ale była. Składała się z deklamacji chóralnych i solowych oraz z pieśni. Doskonale pamiętam, jak śpiewaliśmy Matce Najświętszej: Witaj Mario, Śliczna Pani..., jak deklamowaliśmy wiersz: Na Anioł Pański biją dzwony... Helena dorywalska, niedługo przed śmiercią, powiedziała mi, że wyrzuca sobie, że nie pomogła mi w pracy katechetycznej, w nabożeństwach. Fakt jest, że nie pomogła, a miała księdza - dziadzia, który się nią opiekował, wyrwał z domu bardzo biednego i wprowadził w środowiska inteligencji. Ten ksiądz wileński, Józef Bielawski, był bardzo ciekawym człowiekiem. Pracował jako katecheta w seminarium wileńskim, był bardzo lubiany przez młó, dzieć. O przy tym sikośnik książek, turysta. W r. 1944 jako 60-letni kapłan poszedł do lasu do partyzantki. Skazany był przez Niemców, potem przez Rosjan, wywieziony w głąb Rosji, przebywał w niej lat 12 - wrócił w r. 1958. Odszukałam go w Polsce. Był kapłanem RRM SS. Niepokalanek w Wałbrzychu. Długo nie wytrzymał u dobrych sióstr. Poszedł na parafię, ale pracować nie pozwoliła mu choroba serca. Był w domu ksiądz emerytów w Świdnicy i dobrego ks. dziekana ks. Batora. Potem wyjechał do Gdyni, gdyż tam przebywał kolega, ksiądz z wileńszczyzny. Pochował go i dożył na Wybrzeżu lat 90. W czasie wakacji byłam u znajomej pani w Sopocie. Poszłam odwiedzić księdza Dziadzia (po Dorywalskiej i ja go tak nazywałam) zastałam go już w szpitalu, prawie w agonii. Jak pięknie mówili o Nim chorzy z tej samej sali. Nazywali go "drugim Maksymilianem Kolbe". Byłam w szpitalu dłuższy czas. W pewnej chwili ksiądz Dziadzio oprzytomniał, poznał mię, uśmiechnął się i ... pobłogosławił. Na drugi dzień już nie żył. Śmierć miał bardzo lekką. Zatrzymałam się na jego pogrzeb. I w czasie pogrzebu przekonałam się kim był. Wiele "szarych" ludzi wzięło

udział w pogrzebie, zegnało go jako kogoś bliskiego - a przybył na Wybrzeże jako 80-letni, schorowany starzec. Ksiądz Dziadek wszystkim robił dobrze. Jechaliśmy 2 czy 3 autokarami na cmentarz Wetomino. Był sztandar kombatanów, były mowy. Z nich dowiedziałam się, że ksiądz Dziadzio był pułkownikiem, że miał order, że "poszedł do lasu, bo kochał Polskę". Pamiętam jego testament: nich księża więcej się modlą. Pamiętam jego troskę o zjednoczenie Kościołów. Początkowo niw rozumiałam jej, nie znałam światowych ruchów w tym kierunku. A on pracował nad tym w Rosji. Po wypuszczeniu z łagów wydwował po Rosji, chyba do Władywostoku i posługiwał prawosławnym. Ksiądz Dziadek mało mówił o sobie, a szkoda. Zawsze troszczył się o innych, miał dobre, życzliwe niebieskie oczy. Mnie nazywał "Janią". Na Kwitku nosiłam jego kożuszkowy bezrękawnik. Bardzo go lubiłam. Ale w Polsce oddałam w Suwałkach Dorywałskiemu, bo Helena powiedziała, że mi go wypożycza. A ja po harcersku byłam uczciwa.

Uczyłam kilka miesięcy. Dowiedziałam się, że Gabriela Porębska z Otyunii, z którą siedziałam w Kijowie, przebyła całą drogę Kijów - Irkuck, a potem więzienie w Aleksandrowskim Centrale jest w rejonie Zima. W maju pojechałam do niej. Nie było wolno po Rosji jeździć. Bilet można było nabyć na podstawie zaświadczenia NKWD, a zaświadczenie wydawano na podstawie polecenia urzędu, lekarza, szkoły, zakładu pracy. P. Tumilowicz wystawił mi potrzebne zaświadczenie, że taka a taka miejscowość wzywa mnie do pracy nauczycielskiej w szkole. No i pojechałam. Powiatania z Gabriellą nie będę opisywać. Dwie dziewczyny młode, oszalałe wolnością, a że w trudnych warunkach? Nie w takich byłyśmy. Posiołek, do którego przybyłam, był także w tajdze, ale dzikszej. Był mniejszy, mniej miał ludzi, bez inteligencji. Ludzie zatrudnieni byli przy zbieraniu żywicy. Zakład również wojenny, bo żywica potrzebna do produkcji wojennej. Jaka to ciężka praca do żywicowanie! Pracujący dostawał ostry nóż i tym nożem nacinał odpowiednie drzewa "w jodełkę". U podnóża "jodełki" podstawiał kubeczek. Powoli żywica napełniała kubeczki. Trzeba było kilka razy obchodzić swój rejon i wypróżniać kubeczki. Najtrudniejsze były głębokie nacięcia i to wielu drzew. Gdy przestawała płynąć żywica, trzeba było nacinać inne drzewa. W tajdze pełno było owadów. Najwięcej bałam się szerszeni, większych od naszych polskich, które miały ogromną rzrę - ryj. Gdy tym ryjem ucięły, krew lała się jak z rany.

Na tym posiołku było przeraźliwie cicho. Wkrótce odkryłam źródło tej ciszy - brak dzieci. Wszystkich dzieci w wieku szkolnym 7,8,9 lat było około 6. Dowiedziałam się, że wszystkie inne, zaraz pierwszego

roku wymarły: z zimna, głodu i rozlicznych chorów. Z tymi cudem uratowanymi dziećmi w ciągu 3 miesięcy, może w ciągu 3 i pół miesięcy robiłam I klasę, nauczyłam je czytać, pisać i rachować. Doskonale pamiętam te moje lekcje. Najpierw były lekcje z wszystkimi dziećmi, potem lekcje indywidualne - reszta bawiła się przy baraku. Pocóż miałam dzieci przeciągać wieloma godzinami lekcji. Lusja prowadziła gospodarstwo "haczykajstwo". Odpowiadała za ileś tam hektarów ornej ziemi, za zasiew i za plony. Była w ciężkim kłopotcie, bo plany według normy nie wychodziły. Wtedy następowała kara (więzienie) za sabotaż. Ratowali ją dobrzy ludzie, szczególnie inżynier, który mieszkał za ścianą, a pracował w lesie. Sprzykszyła mi się cisza, samotność. Wspominałam z przyjemnością ludny, gwarany Kwitek, z którym utrzymywałam korespondencję. Myślałam o wyjeździe nie dezertkowałam, nauczyłam dzieci czego mogłam, ale tu nie było pola do pracy. Zwróciłyśmy się do p. Tumikowicza, aby wysłał nas do armii polskiej. Odpowiedział, że tego zrobić nie może, może tylko odstawić do Niżni Udińska, a dalej musimy sobie same radzić. Po naradzie odstąpiłyśmy od zamiaru wyjazdu. Tu żyli też Polacy, chcieliśmy być razem. A głodu, ponieważ, tułaczki zaznałyśmy do syta.

W sierpniu przyszedł list z Kwitka, list jak pobudka. Hela Dorywalska wzywała mnie do pracy. Tworzyła się szkoła polska, niektóre nauczycielki wyjechały, brak było sił pedagogicznych. I znów na wezwanie p. Tumikowicza kupiłam bilet i przyjechałam na Kwitek jako upragniona pani nauczycielka.

Chcę jeszcze napisać o wiosnie w opuszczonym posesiołku. Wiosna przychodzi w maju i po prostu wybucha. Gwałtownie nikną śniegi, krzewy i drzewa pokrywają się pąkami i liśćmi, rozkwitają kwiaty. Z posesiołka do miasta Zimy było pewnie około 10 km, w obie strony 20 km. Chodziliśmy do miasta dla załatwienia różnych spraw. Szliśmy przez pastwiska bezdrzewne, z kępami różnych krzaków. Doskonale pamiętam, jak szłam w maju po zielonej, soczystej trawie, a krzaki miały małe pąki. Gdy wracałam po południu słońce prażyło a krzaki były okryte przepięknymi, młodymi liśćmi. Nigdy jeszcze nie widziałam, aby wiosna zmieniała ziemię w paru godzinach. - W Polsce taki proces trwa parę dni, nawet tydzień. Ogromnie go lubię, zawsze podziwiam i wolę niż kwitnienie sadów.

m. Na Kwitku powitano mnie jako dobrą znajomą, choć ta dobra znajoma zmieniła wygląd: zaokrągliła się, odmłodniała, włosy jej urosły, a włosy te zaczęły się kręcić. W dzieciństwie miałam loki, potem znikły, gdyż zaczęłam czesać się u fryzjera. Po ścięciu, jak po ty-

fusie, dostałam znów loki. Chyba są największą moją ozdobą. Zamieszkałam w baraku, ale mając doświadczenie, wybrałam największą izbę. Pamiętałam o wspólnej modlitwie. I znów zaczęła się praca szkolna, bardzo uciążliwa, bardzo patriotyczna. Oficjalnie kierowniczką była P., ale każdy siebie pilnował, gdy z ważnych powodów nie miał zajęć, prosił kolegów, koleżanki o zastępstwo. Mieliśmy dzwonek, Gdy dzwonek dzwonił słychać go było we wszystkich barakach. Dzieci szły do szkoły, miały przerwy. Według naszego dzwonka regulowano zegarki. Nie mieliśmy radia, gazet. Wieści ze świata dochodziły rzadko. Stworzyliśmy własny świat. Wieczorem schodziliśmy się, czasami na zwykłe pogawarki, najczęściej u Dorywalskich. Należało do dobrego tonu przynieść chleb - wszak był wydzielany. Gospodyni z wielkim wdziękiem nalewała herbatę. Była to barwiona woda, najczęściej przypylana skórka chleba, nieocukrzona. Jakie były rozmowy, jakie były dyskusje! Przypominałyśmy sobie wiersze, które nie były w podręcznikach, tak złożyłyśmy niektóre ballady i Ode do młodości, A Mickiewicza. Tak przygotowywałyśmy akademie na niektóre uroczystości i rocznice. Pamiętam jedną dyskusję - czy my dobrze wychowujemy dzieci, przygotowujemy je tylko do pracy w Polsce, a jak nie wrócą, jak będą musiały żyć w otaczającej rzeczywistości, zupełnie bezbronne? Wreszcie zgodziliśmy się z tym, że nie umiemy inaczej uczyć, chować, że nie my, ale dzieci napewno wrócą do Ojczyzny. Nazajutrz po tej rozmowie Hela Dorywalska odczytała nam w erdz "Musimy wrócić! Nie my, to nasze dzieci.

Niedługo trwała ta nasza polska szkoła. Pewnego dnia zjechało NKWD, przerwało lekcję w połowie, zamykając szkołę. Ze łzami wychodziły z baraków dzieci, ze ściśniętym gardłem nauczyciele. Żadne dziecko nie poszło uczyć się do szkoły na ukraińskim Kwitku. Nauczyciele zaś zaczęli szukać pracy (względnie dorabiać). Ponieważ byłam sama, musiałam pracować. Do biura iść nie chciałam, fizycznych prac ani nie umiałam, ani nie mogłam wykonywać. Wtedy Stanisław Chróścielewski namówił mnie na dozorcę-strażnika. On sam był strażnikiem, miał największy przydział chleba (pajdy) i prawie żadnej pracy. Straż Pożarna miała szereg placówek w lesie, trzeba było obejść oznaczony teren i pilnować drzewa i maszyn - kto by je z tajgi chciał ukraść? Pilnować też, czy nie ukaże się ogień i zaraz telefonicznie powiadomić o nim. Najtrudniejszą sprawą było dojść do wyznaczonej placówki, nie raz do 10 km i być samej 24 godziny. Odpoczynek trwał 24 godziny. Naturalnie w nocy można było spać. Budka miała piec, trzeba było palić cały czas, inaczej można było zimą zamarznąć, - miała telefon

i pryczę drewnianą przykrytą kocem. Na niej spałam, ale bardzo czujnie, słyszałam wszystko, dokładałam drzewa do ognia. Zupełnie się nie bałam. Ludzi nie było, zwierząt nłe było. Dobrzy ludzie uprzedzili, że na birży jęczy, zawodzi jakiś gatunek sowy. Gdybym pierwszy raz ją usłyszała, byłoby mi bardzo nieprzyjemnie. Jakby dziecko jęczało, wzywało pomocy. Gdy pierwszy raz poszłam do pracy, nie znalazłam budki, był mrok, mnóstwo nawalonego drzewa, nigdzie ognia. Ten, którego zmieniałam - może dużo wcześniej odszedł z pracy, nie spotkałam go w drodze. Zastanowiłam się, c@ mam robić? W tej sytuacji tylko miałam dwa wyjścia: wracać po nocy, albo zanoćować pod gołym niebem. Wybrałam to drugie. Upatrzyłam duże zwalisko pni, wylazłam i w środku, aby nie spaść - położyłam się na twardym drzewie. Nade mną niebo ciemnoniebieskie z licznymi gwiazdami. Nigdy nie widziałam tak dużych i tak srebrzystych gwiazd. Pomodliłam się serdecznie i czułam wprost fizycznie, że Bóg pochyła się nade mną i trzyma mnie "pod swoimi skrzydłami". Tę srebrną, piękną noc przespałam na stogu drzewa, sama jedna w tajdze.

Rok pracowałam jako stróż-strażak leśny. W okresie tym nawiązałam jeszcze silniejsze więzy z naturą. Jak piękną była zima z niepokalaną bielą śniegów i ciemnozielonymi drzewami iglastymi. Pamiętam, jak wróciłam do Polski, śnieg wydawał się obrzydliwy: mały, brudny, ogromnie brudny. Natomiast lato w tajdze było wspaniałe! Przy końcu maja wybuchała wiosna. W paru dniach ginęły obfite śniegi, zieleniły się trawy i drzewa. Zakwitały kwiaty. Tajga ma kwiaty wielkie i barwne, ale nie pachnące. Są różnego rodzaju storczyki, lilie, dzwonki. Co jeden to jaskrawszy, ładniejszy. Przywabiają owady. Rosną też grzyby, mnóstwo. Były borowiki, ale o ciemnoczerwonych kapeluszach (nazywaliśmy je "czerwone łebki"), były kozaki, podgrzybki, opieńki. Gdy natknęłam się na opieńki, mogłam nimi cały wór napakować. Wybierałam tylko najładniejsze czapki.

Mój dzień przedstawiał się następująco: Przychodziłam wieczorem, przygotowywałam drzewo. W nocy czujnie spałam. W ciągu roku 1 raz tylko miałam kontrolę - przyjechał na koniu kierownik. Naturalnie nie spałam, paliłam w piecu. Porozmawiał chwilę i odjechał. Rano myłam się, odmawiałam pacierz i zabierałam się do gotowania. Przynosiłam chleb, gotowałam zupę. Zupa była zimną jednakową: z ziemniaków, zaklepana mąką lub kaszą. Z tłuszczem było różnie. No i przynosiłam sól. Jak ciężko żyć bez soli, przekonałam się dopiero na Syberii. Nie dowieziono soli, byliśmy długi okres bez soli. W lecie zupa była inna, pyszna. Zawsze grzybowa, z cebulą dziko rosnącą, Grzyby zbue-

rałam tylko znane, bałam się zatrucia, więc 2 razy je odgotowywałam. Nie tylko nie zatrulałam się, ale nie miałam najmniejszej niestrawności. Przynosiłam dużą, może 2 litrową puszkę po konserwach. Ktoś dorobił mi rączkę z pręta i to był mój "kociołek". W lecie gotowałam na ognisku zawieszając kociołek nad ogniskiem albo ustawiając go na dwu wysokich kamieniach. Zawartość kociołka służyła mi na dwa razy, wieczorem wracałam. A tam byli Polacy, i dobrzy ludzie. U Chróścielewskich leżał na blasze placuszek dla mnie, dla "ciotki". Był to mały placuszek z tartych kartofli, pieczony na blasze. I żadne dziecko nie zjadło tego placuszka, choć napewno miało ochotę. Placuszek był dla "ciotki", co pracuje w tajdze. Szłam radośnie do Kwitka, przywijałam się do dzieci i do dobrych ludzi. Dzieci znajomych pań mówiły do mnie: ciociu. Henia Chróścielewska jednego razu zażartowała: Wiesz, ty nie jesteś zwykłą ciotką, ty ciotka wszechpolska. Napewno w tym coś było. Nie mając własnej rodziny, własnych dzieci, otworzyłam szeroko serce dla wszystkich dzieci. Nie wiedziałam, że tak miało zostać przez całe moje życie.

Co robiłam na birży? Obchodziłam swój teren, przyglądałam się wszystkim dziwom przyrody, czytałam Pismo św. (pożyczyła mi go Hela Dorywalska), czytałam rosyjskie książki. Zupełnie się nie nudziłam, nie rozmyślałam ani o przeszłości, ani o przyszłości. Żyłam jak roślina w tajdze. Kilka razy zostałam w tajdze na odpoczynek. Gotowałam znów moje grzyby i robiłam większe wyprawy w tajgę. Znaczyłam drogę po harcersku, bałam się zabłądzić. Opowiadano mi, że w pierwszym roku przepadły dwie osoby: dziecko, którego nie odnaleziono mimo poszukiwań i starsza kobieta, którą po 3 dniach napotkano. Siedziała na drzewie, bo bała się zwierząt. Jednego razu zakotłowało się w "mojej tajdze". Nadjechał pociąg wąskotorowy, wysypali się ludzie. Byli to pracownicy zakładu irkuckiego. Przyjechali na "zadotówkę drzewa", to znaczy przywieźć drzewo na zimę i sobie i zakładom pracy. Istnieją różne zagotówki: i ziemniaków i kapusty, grzybów i jagód itd. Na birży, nie pamiętam przez ile tygodni, było ruchliwie i głośno (pracownicy zmieniali się co tydzień: jedni odjeżdżali, drudzy przyjeżdżali). Spali w wagonach, dostawali jakąś zupę, ale wszyscy gotowali przy ogniskach na mój sposób. Każdy tylko jedno miał pragnienie, aby zupa była gęsta. Rozmawiałm z nimi, byli wśród nich i wykształceni. Pamiętam szczególnie dwie rozmowy. Jedna dotyczyła sztuki. Napotkałam malarza. I była rozmowa o impresjonistach, rozmowa całkiem udana. Tylko sceneria jak z pięknej bajki i my, jak z upiornej bajki. On brudny, w jakimś kombinezonie, ja w obszar-

psnych spodniach, do kukły niż do kobiety podobna. Druga rozmowa dotyczyła... polityki. Natrafiliam na rzetelnego komunistę. Przyznał mi, że wyniki mają nikłe, prawie żadne, ale wierzył, że będą, że trzeba długo jeszcze pracować. Miałam zastrzeżenia, że nie mając rezultatów, chcą swą teorię, ideologię nieść wszędzie, na cały świat.

Ponieważ władza radziecka dba o swoich pracowników, jednego wieczoru pojawili się w tajdze ... aktorzy. Na wieczór artystyczny zaproszono i mnie. Siedziałam na jakimś stole pod ścianą, słuchałam wierszy, pieśni i muzyki. I tam w tajdze ułazszalam kujawiaka Wieniawskiego. Zapłakałam. Objawiła się Polska, żywa i serdeczna, uwalowana.

Inną przygodę przeżyłam, gdy na airzy nie było ludzi, była - jak zwykle - cisza. Coś o zaroku zatętniało, zabuczało, rozległy się krzyki. Do budki, do piecyka wtargnęło kilku mężczyzn. Byli to Mongołowie, pastuchy tabunów koni. Zorientowałam się i choć ścierpłam ze strachu, królewskim gestem zaprosiłam do ogniska, wsmiechałam się życzliwie i mówiłam niedużo a serdecznie. W głowie tłukła się jedna myśl: nie pokazać strachu i ... uciec. Mongołowie w kożuchach, czapach, zarosnięci, w sile wieku, rzucili się najpierw na jadło. Wyjęli z torb mięso wędzone, gotowane czy suszone i gryźli je łapczywie. Wiedziałam, że tylko teraz mogę wycofać się potem, po jedzeniu może być za późno. Pot zimnym strumieniem spływał mi po kręgosłupie. Takiego potu nie miałam nawet w czasie śledztwa. Spokojnie przesunęłam się do drzwi, spokojnie wyszłam, postać kilka chwil i znikłam wśród stogów drewna. Szybko przedlizgiwałam się coraz dalej i dalej. Tej nocy nie spałam, w napięciu obserwowałam wydarzenia. Mongołowie zajęli moją baidę i spali zapewne tylko 2-3 godziny. Latem słońce ukrywa się za widnokrąg na krótki okres czasu. Zorza wieczorna niekiedy zlewa się z zorzą poranną. Musiało to być w sierpniu, bo noc trwała dłużej. O pierwszym brzasku zerwali się Mongołowie, zakrzyczeli, porwali swoje tabuny koni i ... zniknęli. Cały dzień byłam trwożna, nie przebywałam w budce. Bałam się, aby któryś z koniuchów nie wrócił.

Gdzieś na wiosnę, czy jesienią 1943 r. zjechały władze oświatowe do Kwitka. Nauczyciele byli wzywani najpierw pojedynczo, potem wszyscy razem. Zaczęto od gróźb. Jeżeli nie będziemy w szkole pracować, wywozimy nas dalej. Związek Patriotów Polskich zawiązany przez Wandę Wasilewską, organizował na nowe szkolnictwo opłacane przez Rosję. Wszyscy jednakowo odpowiedzieliśmy: Tak jak poszliśmy uczyć za czasów Ambasady Polskiej, tak i też pójdziemy uczyć dzieci polskie, nie trzeba nas straszyć. Na wspólnej naradzie wynikła kwestia programów

i podręczników. Instynkt podszeptał nam jedyną zrozumiałą dla Rosjan obronę. Możemy uczyć tylko tak, jak nas uczyli, inaczej nie potrafiemy. Władze oświatowe zgodziły się z tym, aby mocno podkreślać wojskowe przymierze między Polską a Rosją i o P. Bogu nie wspominać. Zgodziliśmy się na oba warunki. I znów rozległy się dzwonki po posiołku, znów dawne "klasy" zaroiliły się dziećmi. Szkoła była arcypatriotyczna. Nauka zaczynała się albo od pieśni np. "Wszystko co nasze, Polsce oddamy...". "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród", albo od patriotycznych wierszy. Takie wiersze pisała też Hela Dorywalska, ja też raz jeden wiersz napisałam. Był mówiony na akademii. Walka z Niemcami i powrót do Ojczyzny były nicią przewodnią pracy w szkole. Natomiast nie modeliliśmy się w szkole, nie uczyliśmy o Bogu w szkole. Robiłam to w mojej dużej kajucie i nikt, ale to nikt przez 3 lata nie doniósł mi, nie oskarżył. NKWD nie było na posiołku. Czasami pojawiali się jego funkcjonariusze, wtedy wszyscy byli uprzedzeni. Muszę szczerze przyznać, że nie było bójek, obraz, kradzieży, że nie mieliśmy kłopotów z władzami rosyjskimi. Zanim przyszedłam na Kwitek, 2 kobiety dostały po 5 lat za kradzież mienia państwowego. Te babinki zbierały kiesy po żniwach, a tego surowo nie wolno. Nie wolno też zbierać ziemniaków, dopiero na wiosnę.

Szkoła była zorganizowana, mieliśmy dzienniki. Dyrektorem niepełnej średniej polskiej szkoły na Kwitku został Stachisław Chróścielewski, jego zastępcą Helena Dorywalska. Była też świetlica prowadzona sposobem kursu dla młodzieży po 7-mej klasie. Prowadziła ją Henryka Chróścielewska. Z harcerstwem daliśmy spokój. Imprezy były dalej urządzane. Deszły konferencje i to w naszym gronie i na szczeblu wyższym w Tajsze. Nasze konferencje wyglądały mniej więcej tak: Stach Chróścielewski zagajał, podawał porządek dzienny, a potem uśmiewał się czepując i mówił: Gdy uradzicie, to mnie zbudzcie. Zwijał się w kłębek i po paru minutach... spał. Dużo biegał po necach - polował, łowił ryby, szukał jedzenia dla swojej rodziny. Miał 2 synów i córkę, miał żonę i swoich rodziców. Matka zmarła zaraz po przyjeździe na Syberię, ojciec wrócił z nimi do Polski. Nigdy nie zapomnę ojca Stacha Chróścielewskiego, że dał mi stare palto podbite kozuchem do przykrycia. Było mi zimno nawet pod 2 kocami, on ulitował się, on sprawił, że nie dokuczał mi mróz. Rankiem woda w kącie kajuty zamarzała. Stach Chróścielewski był wysoki, bardzo przystojny, smagły z czarnymi oczyma. Trwał urok, dopóki nie zdjął... czapki. Był łysy, prawie całkiem łysy.

Na konferencje w Tajsze jeździł często Stach Chróścielewski,

czasem i ja. Inne nauczycielki miały drobne dzieci, nie mogły jeździć. Ja szłam na stację Toporok, a stąd nocą kolejką towarową wąskotorową jechałam do Tajsztetu. Byłam na obradach i znów nocą wracałam do domu, do szkoły. Wtedy, nie mając lat 30, mogłam taki tryb życia prowadzić, jeszcze śmiać się i dowcipkować.

Opowiem trzy zdarzenia z tych konferencji. Jednego razu latem poszłam - pojechałam z Stachem Chróścielewskim na konferencję. Stach ubrał się w ślubne, popielate pumpy. Był oryginałem, brał ślub po sportowemu, nie miał wesela. Mówił, że nie będzie ze siebie robił widowiska. Szliśmy rankiem przez Tajsztet. Nagle usłyszałam wielki wrzask i śmiech. Z boku stał dom, nie pamięta 1 czy 2 piętrowy. We wszystkich oknach głowy niewieście, przeważnie dziewczęce i krzyki: Amerykaniec, Amerykaniec. Śmiejemy się życzliwie, machamy rękoma, Stach Chróścielewski kłania się jak na scenie. Zdełanam powstrzymać go, aby nie zdjął czapki. Wszystko przepadłoby, gdyby pokazał łysinę. Drugim razem byliśmy prawie w komplecie. Może to było zakończenie roku? Nie wiem dokładnie. Był referat polityczny, zapamiętałam z niego, że idea komunistyczna idzie na cały świat, że ogarnęła Polskę, że walczy w kapitalistycznych krajach. Bardzo szcyciono się układem w Jałcie, rzeczywiście mieli tam przewagę. Były referaty pedagogiczne i dydaktyczne. Nauczyciele, dużo ich było, cała sala, słuchali jedząc pestki słonecznika i rzucają je na ziemię. Wkrótce cała podłoga była jednym śmietnikiem, co nie robiło na nikim żadnego wrażenia. W przerwie był obiad w stołówce. Podano na talerzach rybę - śledzia i zapewne goździki czaj - herbatę. Śledzia doskonale pamiętam, dwie grube ryby. Zjedliśmy te ryby, a resztki zgarnęliśmy na jeden talerz; oście, skórę, płetwy, głowy. Przyszła kelnerka, popatrzyła na nas i powiedziała: jeszcze takich gości tu nie widziałam. Z początku nie wiedzieliśmy o co jej chodzi. Dopiero gdy rozglądaliśmy, zobaczyliśmy, że śledź nie był na stołach, ale na podłodze, na krzesłach, wszędzie. Trzecim razem, prawdopodobnie byłam sama. Przyszłam wcześniej do sali konferencyjnej mając nadzieję, że będzie otwarta. I rzeczywiście była otwarta a w niej za biurkiem kobieta, - ktoś z władz oświatowych i wojska. Rugały się zupełnie niespieszone moim wtargnięciem, powoli dobierały dosadne słowa. Gdy jedna kończyła, po chwili druga odpowiadała. Ruganie trwało około godziny, bez gniewu i uniesienia. Wyczuwało się jednak zawziętość oraz przyjemność w tym pojedynku słownym.

Chyba przed powtórny otwarciem szkoły była mobilizacja. Mężczyźni do 60 roku, a kobiety do 30 roku mieli zgłosić się do komisji poboro-

wej w Tajszeć. Nastął sądny dzień. Nasi mężczyźni, nasza młodzież opuszczali Kwitek. Tworzyła się Armia Polska - kościuszkowcy. Wezwanie i ja dostałam. Zniosłam zbędne rzeczy ziemniaki do Chróścielewskich i pożegnałam się. Znow los niósł mnie jak liść. Stałam przed komisją. Popatrzyli na moje papiery, na moją amnestię i rzucili mi w twarz jak obelgę: "Niegodna walczyć z Niemcami". Pełna radości wróciłam na Kwitek. A tam zgłosił się do mnie p. X, który dostał wezwanie do wojska. Był osiedleńcem na wschodnich terenach Polski, miał żonę i chyba 8 dzieci. Wszystkich pochował ten "ojciec zadżumionych". Została mu tylko córeczka Kryśka, uczennica 2 lub 3 klasy. Przyprowadził ją do mnie i rzekł: Gdy wezmą mnie do wojska, pani się Kryśką opiekuj. Co miałam powiedzieć zmartwionemu ojcu? Powiedziałam dobrze, opiekuję się. Pojechał p. X do Tajszetu, ale powrócił, został reklamowany. Inni poszli, między nimi Władysław Dorywalski, który dosłużył się stopnia sierżanta i Stanisław Chróścielewski. Ten ostatni w krótkim czasie wrócił, jakich użył sposobów i czarów to już jego tajemnica.

Jeszcze o szkole. Helena Dorywalska miała dwie prace, po mężu była buchalterem w stołówce i nauczycielką. Często zastępowałyśmy ją, bo miała wadę serca i choroba nie pozwalała jej iść do szkoły. W końcu września czy na początku października urodziła czwartą córkę, Jadwinę. Prawie wszystkie dzieci ja chrzciliśmy. Umiiałam to robić. Naturalnie dodawałam odpowiednią oprawę - mówiliśmy wspólnie pacierz, składałam życzenia, kreśliłam krzyżyk na głowie dziecka. W Polsce byłam na chrzcie tylko u rodziny Chróścielewskich. Śliczna Wanda, królewna Wanda - jak ją matka nazywała - umarła na gruźlicę kości w Warszawie. Urodził się za to Jacek. Był więc chrzest w 3 pary w Piszce. Uzupełniono chrzest Wieska i Staszka, chrzczono najmłodszego Jacka. Ten Jacek szedł na własnych nogach. Gdy w zakrystii zobaczył na szafie wypchaną kaczkę, przerwał święte obrzędy okrzykiem: Mama, kaczka! Ja byłam matką chrzestną Staszka-juniora Chróścielewskiego. I jestem do dziś dumna z niego. Jest uczciwy, pracowity, lubi jak ojciec las i wodę. Ożenił się dobrze z nauczycielką Jelenią, która mądrze wybaczła, że jej główną rywalką to jezioro i las.

Znow wracam do szkoły. Chciałam tę szkołę opisać, warta jest tego. Odpowiedziano mi: jeszcze nie pora. Miliśmy ławki, tablicę, kredę, światło elektryczne. Dzieci pisały ołówkiem na deseczkach sosnowych. Każde dziecko szło do szkoły z deseczkami. Te deseczki miały być poliniowane. W czasie przerwy dzieci pismo ścierały... szkiełkiem. Nawet dzieci I klasy. Początkowo bałam się, że się pokaleczą, ale dzie-

ci były ostrożne, nie było skaleczeń. W starszych klasach dzieci pisały atramentem. Atrament robiliśmy z chemicznych ołówków przysłanych z Ameryki. Poprawiałam zadania pisane na gazetce - między drukiem - najczęściej na rosyjskiej "Prawdzie". Ta gazeta była przez nas bardzo ceniona, bo duża i miała możliwy papier. Gdy światło elektryczne zagasło, a często to się zdarzało, poprawiałam prace uczniowskie przy ogniu z pieca. Bóg cud zdziałał, że nie straciłam zwrótu, mam dobry, tylko osłabiony latami. Uczyłam znów 2 klasy, a wieczorem miałam ... świetlicę. Przyszła młodzież i prosiła o to. Powiedziałam, że nie mam czasu, ale mogą bawić się u mnie, a ja będę poprawiać zadania lub przygotowywać lekcje. I tak zostało. Młodzieńcy i dziewczęta, bawili się w pomidora, plotki, fanty itd. Czasami bawiłam się z nimi, czasami gawędziłam, czasami uczyłam śpiewać lub tańczyć. Pamiętam, jak doniesiono mi, że dziewczęta ruskie zapraszały naszych starszych chłopców, wiedziałam w jakim celu. Była wojna, mężczyźni na froncie, dziewczęta zwabiały nawet chłopców, a taki Zamana wyglądał jak dorosły. Doszłam do wniosku, że muszę interweniować. Ja sama zaprosiłam samych chłopców do siebie. Siedzieliśmy bez światła. Mówiłam, że muszą się bronić przed ruskimi dziewczętami, że muszą być czysti, że na nich czeka Polska, praca, że założą kiedyś rodziny i że muszą patrzeć wprost w oczy swoim dzieciom. I wtedy Staszek Zamana poprosił o świetlicę. Tak, wtedy to było, jak zgodziłam się, jak zaczęli się do mnie schodzić, ustaliły odwiedziny u ruskich dziewczyn. Robiliśmy dalej imprezy, akademie, przedstawienia. Najczęściej było tak: jakiś temat, np. morze, czy walka z Niemcem i do tego tematu dobrane pieśni solowe lub zbiorowe, wiersze w różny sposób opracowane, inscenizacje małe i duże, mniej lub więcej staranne. Wszystkie rocznice były uroczystie obchodzone, ukazywaliśmy prawie wszystkie dziełnice Polski. Wystawiałam IV część Działów, ale nieudolnie, dziewczęta poprzebierane w chusty i koce zaczęły się śmiać. Natomiast pięknie wypadł ks. Józef Poniatowski. Hela Dorywalska napisała tekst, dzieci były zaangażowane, śpiewały i tańczyły pięknie. A najpiękniejszy był w pierwszej odsłonie książkę Józef na koniu. W tajemnicy wycięli chłopcy tego konia z desek według mego rysunku, jak go ustawiłam, miał pysk za chudy, a nogi za wysokie. Pysk dolepiłam papierem, a nogi nieco ścięłam. Na tym koniu siedział wódz - miał piękne czako a burkę granatową z mojej spódnicy. Bez żalu poświęciłam spódnicę, wynagrodził mi zachwyt wszystkich.

Moją najlepszą sztuką były "jasełka". Skomponowała je Hela Dorywalska, byli więc aniołowie, pasterze, 3 królowie, Herod i śmierć. Ostatnia scena najpiękniejsza: Grota betlejemka, Dzieciątko w żłóbku,

św. Józef i Maryja i przychodzący z pokłonem pasterze, żołnierze, turlacze, wreszcie postać niewieścia, cała w żałobie, milcząca. Do niej przemawia Dzieciątko Boże obiecując wolność. Ogólny płacz i pieśń: Podnieś rączkę Boże dziecko... kończyły jasełka. Jasełka dawałam wiele razy, wszyscy chcieli je widzieć, wszyscy chcieli w końcowej scenie popłakać. Były i wesołe momenty. Pewnego razu jeden z aniołów w końcowej scenie wstał i zaczął przepychać się nad tłumem kornie schylonym. Nie zareagowałam, przeczekałam aż anioł wyjdzie i akcja potoczyła się prawidłowo. Później jakiś dowcipniś powiedział mi: a najładniej było jak anioł niebieski poczuł wyraźnie, że jest aniołem ziemskim. Nigdy nie zapomnę krakowiaka, którego przed Dzieciątkiem tańczył Rysio Jarzębowicz, zgrabny i zdolny chłopiec. A jak zapomnieć Dobrowolskiego, który uciekł do Polski, został złapany koło Uralu i odstawiony na nasz posterunek

Chodziłam też z dziećmi po kolędzie. A wyglądało to tak: Obchodziłam wszystkie polskie baraki z gromadką dzieci, które śpiewały kolędy, mówiły wiersze i składały życzenia. Jak pięknie deklamowały wiersz Wyspiańskiego, lub urywek z "Kwiatów polskich" Tuwima. Do dziś pamiętam głęboki okrzyk: "Polskę daj nam żywą". Ludzie płakali, zapraszali, dziękowali. Odchodziliśmy z pieśnią: "Wiwat, wiwat już idziemy, za kolędę dziękujemy". A naprawdę nie było żadnej kolędy, żadnego datku, tylko z naszej strony usługa, pocieszenie, kawał Polski. Obeszliśmy baraki, pozostały jeszcze rodziny polskie wywiezione z Ukrainy, które mieszkaly na Kwitku ukraińskim. Widziałam, że dzieci miały dość, że nie bardzo chciały iść daleko, a mróz był ponad - 40° C. Ale powiedziałam: przełamiemy niechęć, lenistwo, zaniesiemy polską kolędę i dawnym Polakom. Poszliśmy do nich, ich wzruszone twarze były najlepszą nagrodą. Wśród dawnych Polaków była p. Maria. Męża jej aresztowali, dzieci nie miała, samą wywieźli na Kwitek. Zadomowiła się, miała nawet ...krowę. Gdy Polacy przyjechali w 1940 r. przylgnęła do nich całym sercem. Chodziła do nich, brała udział we wszystkich wspólnych modlitwach, we wszystkich imprezach szkolnych. Gdy mówiło się coraz częściej o wyjeździe, gdy stał się on pewny, bo armia niemiecka cofała się a armia czerwona pędziła na zachód, szukaliśmy sposobów, aby p. Marię wziąć do Polski. Uważaliśmy, że da się to zrobić tylko przez małżeństwo. Wyszukaliśmy odpowiedniego kandydata. Stary gajowy Dobrowolski był wdowcem. Zawarli ślub i aby zaakcentować małżeństwo - wspólnotę i materialną - p. Maria przyprowadziła krowę do p. Dobrowolskiego. Mimo tego ślubu i oddania krowy, nie puszczono p. Marii, gdy odjeżdżali Polacy. Stała na peronie w Tajszece, a łzy płynęły po policzkach. Od niej wiem, jak ciężkie miała życie na

Ukrainie, jak ciężkie miała życie na Syberii? Czy po wyjeździe Polaków męczono się na niej? Nie wiem, może i nie. Udała się dyplomatką i zachować uczciwe polskie serce. Od niej wiem, że w domu nie można było mieć religijnych obrazów, wieszano więc "macierzyństwo", matkę z dzieckiem, aby choć w ten sposób złożyć hołd Najświętszej Pannie Maryi.

Latem chodziliśmy na grzyby i na jagody. I jagód i grzybów było w bród. Jeżeli ja, która nie umiałam zbierać, nappełniłam 2 wiadra przez dwie godziny, to było ich dużo. Mp. czarne jagody były duże i słodkie, większe niż w polskich lasach. Każda gałązka borowiny była nimi oblepiona. Trzeba było kucnąć i na jednym miejscu po prostu zauważyć je do garnuszka. Przecież tych jagód nikt nie zbierał zbieraliśmy je nieraz pierwsi. Ale do jagód czy grzybów była daleka droga, napewno kilka kilometrów, a wracać było gorzej, bo z ciężarem. Nauczyliśmy się od Rosjanek i Ukrainek wiązać ręcznikiem 2 wiadra, jedno wisiało z przodu, drugi z tyłu. Najlepszy sposób na niesienie ciężaru. Ubieraliśmy się szczerze przed wesełką, ręce i twarz smarowaliśmy dziegciową maścią. Najlepsza jednak była siatka z konińskiego włosia bardzo gęsta. Z czarnych jagód robiłyśmy konfiturę, bez cukru a z odrobiną maki. Smarowałyśmy nią chleb. Szczególnie dzieci zjadły się tym specjałem. W lesie rosły i porzeczki. Były czerwone i czarne. Mniej chętnie zbieraliśmy je, bo były bardzo kwaśne. Pamiętam jedną wyprawę na porzeczki ze Stachem Chróścielewskim. Wypatrzył, że najładniejsze są na drugiej stronie rzeki. Rzekę przebyliśmy na kłocu, a Stach grubą gałęzią wisiałował. Nie czułam najaniejszego lęku w tym niezwykłym czynie, a wierzyłam mocno, że Stach da radę. Był on synem gajowego, znał cudownie wodę i las i zawsze dawał radę. To on polował, to on łowił ryby, o których często nie mówił. Wiedział, że zbijał tratwę, to znaczy wiązał kłocę, 2 lub 3 razem i pływał po rzece. Z takiej tratwy spadł jego ojciec - ledwie go Stach wyciągnął. Jeszcze chwila, a wpadłby pod kłocę, których tysiące płynęły z prądem rzeki. Innym razem, gdy byłem ze Stachem, wisiałam "śmierć lasu". Zerwał się silny wiatr, musiał być dalej silniejszy, "trąba powietrzna". W naszych oczach las porostający zbocze góry - pisał już, że byliśmy w Sajnach - położył się. Pełni zdumienia patrzyliśmy na to dziwne natury. Po pewnym czasie poszliśmy je oglądać. Wyższe cedry leżały powalone jednym uderzeniem gwałtownego wichru. Jaka musiała w nim być siła.

Widziałam i przeżyłam pożar tajgi. Jednego dnia wszyscy stróżnicy - strażacy i część robotników z innych zakładów pracy zostali wezwani

do gaszenia pożaru. Podjechaliśmy blisko płonącej tajgi, nad którą górą zwały dymne, a dołem ogień i żar. Ogień przeskakiwał z drzewa na drzewo, trzask, szum i śpiew. W dalekiej odległości od ognia Czyszciliśmy szerokie pasy w tajdze, aby ogień zatrzymał się na nich. Ogień zatrzymuje się na pustych pasach lub na szerokiej rzece. Podobno nasz pas pokonał ogień, wypalił się ogień, nie przerzucił na nowe drzewa.

Odwoływana byłam z placówki stróża-strażaka i do innych prac fizycznych. Czyściłam las, to znaczy paliłam chrust i sęki. Coś przez tydzień gotowałam zupę dla robotników w lesie. I ... kosiłam. Stańło nas do koszenia trawy w dalekiej tajdze kilkanaście osób. Kobiety ruskie, ja Polka jedna i kilku Polaków. Rozdano kosy, osełki. Jestem uczciwa, mówię do brzdądziera z nie zmaconym spokojem: Niczego. Stańłam między polskimi mężczyznami, a oni stoją w pięknym rzędzie, aby ciąć trawę. Mruga do mnie p. X, tęgi, rumiany, z rubasznym uśmiechem i z jednym okiem w nieporządku. Gdyby miał dziurę w czole, czysty Zagłoba. Mruga do mnie i woła: Trzeba klepać kosę. Wyjmujemy osełki i klepiemy. Potem tniemy. Staram się jak najlepiej, ale trawa uchyla się, ucinam tylko największe okazy. I znów klepiemy kosy. Potem padał deszcz. Schowaliśmy się pod drzewa. Potem był obiad. Po obiedzie mam więcej werwy u tnę według mego mniemania coraz lepiej. W pewnej chwili mówi p. Y zdesperowanym głosem: Ja nie mogę po pani kosić, ja naprawdę nie wiem, gdzie było koszone, a gdzie nie. Kosiliśmy 5 czy 6 dni, na łąkach i w tajdze. W tajdze podobało mi się najbardziej, bo rosły tam tylko wielkie trawy i paprocie, a tym dawałam radę. W nocy spaliliśmy na sianie, a stodole. Po kolacji powiedziałam głośno do p. X: Ja śpię koło pana, a on zgodził się życzliwie. Widziałam oburzenie w oczach Rosjanek, one choć robiły, nigdy nie przyznawały się. Do końca moich dni kwitkowskich krążyły dowcipy na temat, jak kosiłam i jak spałam przy p. X.

Odnaleźli mnie na Kwitku... Ukraińcy. Przyjechała na kontrolę do stołówki młoda i przystojna kobieta z Irkucka. Złożyła mi wizytę i zaproponowała wstąpienie do tajnej organizacji antybolszewickiej. Nie zdziwiłam się - musieli wiedzieć o moim więzieniu i amnestii. Ale bez namysłu odmówiłam. Wojna wkrótce się skończy, chcę wrócić do Polski, nie żałuję tego, co robiłam, ale obecnie nie przystąpię do żadnej organizacji. Inna rzecz, że do Ukraińców nie miałam i nie mam pełnego zaufania. Ona też chyba nie miała. Miała bardzo czujne oczy gdy wyszłam z kajuty. A przecież nigdy nie wydałabym ją ani nikogo innego...

Ustalili się zwykły tryb życia; rano sprawunki, śniadanie i szkoła, po obiedzie szkoła, wieczorem przygotowanie lekcji i imprez, świetlice i "pogaduszki". Te były najmiłsze. Zbieraliśmy się razem, krzepiliśmy się, projektowaliśmy. Żyliśmy się zwłaszcza trzy: Hela Dorywalska, Henia Chróścielewska i ja. Henia chciała przyłączyć się do swojej rodziny, ale odmówiłam. Wiedziałam, że mam czarną przeszłość i nie chciałam obciążać nią żadnej rodziny. Nadto bardzo kochałam swobodę, a życie w rodzinie kładło kres tej swobodzie. Ale nigdy Hani nie zapominałam, że płakała, gdy odjeżdżałam powołana do wojska, że chciała się wpisać do swojej rodziny.

Czasami wieczory były na wysokim poziomie. Czytaliśmy "Pana Tadeusza". Hela czytała swoje wiersze lub tłumaczenia. Pamiętam tłumaczyła wiersz Lermontowa: Jak grzecznie, jak skucznie i nie t komu ruku podać... Czasami było bardzo radośnie. Mówiliśmy dowcipy, żarty, dzieliliśmy się radosnymi wspomnieniami. W jeden taki wieczór zrobiono ze mnie ... panną młodą. Ubrano mnie w wypożyczony biały strój z welonem, skakano jak przy prawdziwej pannie młodej. Panie miały doskonałą zabawę. Mnie w pierwszej chwili było przykro: nie byłam nigdy panną młodą - a każda dziewczyna o tej roli marzy. I prawdopodobnie nie będę nią nigdy. Ale potem i ja zaczęłam się bawić, raczej nie narzuconą rolę ale zaangażowaniem pań. Jakie były przejęte, ile energii włożyły w tę imprezę. I przypominała mi się dobra p. Maria Kozłowska z więzienia kijowskiego. Na więzienne przechadzki zawsze ubierała kapelusz. Za jej plecami śmiałyśmy się z tego kapelusza i z niej. Ponieważ ją lubiłam, powiedziałam jej przy jakiejś okazji: Niech pani zostawi ten kapelusz, niech pani nie ubiera go na przechadzki. P. Maria podniosła dobre i spokojne oczy i zapytała mnie poważnie: A z czego panie będą się śmiały? Unikłam speszona, Nigdy nie chciałam być przedmiotem żartów i śmiechu. Zaczęłam wyżej cenić p. Marię. A tam na Kwitku zgodziłam się z narzuconą rolą i przez cały wieczór "grałam" młodą panną - a że bez pana młodego? Cóż, wojna!

Nadszedł maj 1944 r. W połowie maja zostałam zaproszona na grzyby - smardze przez helę Dorywalską. Ogromnie lubię grzyby i nie wiem dlaczego, ale po szkole wpadam do domu i zjadłam kolację. Dopiero potem przyszedłam do Heli. A tam wszyscy rozprawiają tylko o grzybach. Hela mając dwie prace: buchalterki i nauczycielki, przygarnęła starszą kobietę, która zajmowała się najniejszą córką Jadwiną. I ona to właśnie przyrządziła te wiośenne grzyby - smardze. Nie wiem dlaczego, czy dlatego że je nigdy w życiu nie jadłam, czy że tak je wychwalano zjadłam niedużo. Na drugi dzień doniesiono mi, że Hela nie jest na

lekcji, że jest chora. Była chora na serce i często opuszczała lekcje. Odwiedziłam ją w południe, porozmawiałam i poszłam do szkoły. Wieczorem spotkałam się u Heli z Henią Chróścielewską. Hela miała torsje. Obie uczułyśmy niepokój. Kiedy torsje nie ustępowały, wzbudziły podejrzenie grzyby. Ale grzyby jadło wiele osób. Jedynym rażunkiem był szpital. W nocy p. Zamana odwiózł Helę do szpitala. Wiadziałam ją ostatni raz. Nie zrobiono płukania żołądka, nie zrobiono transfuzji krwi, choć wiele osób chciało oddać krew, bo w szpitalu nie było odpowiadających przyrządów. Nawet nie dopuszczono do Heli nikogo z Polak. Podałam się za jej siostrę, ale nie pomogło. Potem powiedziano mi, że bano się płaczów, krzyków, a trzeba było Helę uspokoić co do dzieci. Umierała wśród smutnych Rosjanek, powtarzając nieustannie - moje dzieci, moje dzieci. Tymczasem niektóre osoby, które jadły grzyby, lekko rozchorowały się, ja nie. Poszły do szpitala Hania Dorywalska i p. O. O Heli dowiedziałam się, że tego nieszczęsnego dnia nie jadła chleba, zostawiła go dzieciom, grzyby jadła dwa razy na pusty żołądek: w południe i wieczorem. Dano znać do szpitala, że można odebrać ciało Heli Dorywalskiej. Zajął się pogrzebem. Dwoje dzieci zabrały nauczycielki, ze stołu zrobiłam katafalk, kocami zasłoniłam okna. Wnocy, chyba znów p. Zamana, przywiózł ciało. Zajął się nim jakby rodzonej siostry, obmył, ubrał, ułożył, pomodlił się. A potem znużona płaczem i trudem, leżałam w tej samej kajucie. Była ze mną Irena Włodzianowska, młoda dziewczyna, która pomagała Heli w różnych pracach. Była najstarsza z licznej rodziny (matka rodziła na Syberii 14-te dziecko, które ochrzciłam Janiną, a które nie miało dostatecznie rozwiniętych kości - bo i z czego? Zaraz po chrzcie zmarło. Tymczasem mężczyźni zrobili trumnę, inni - między nimi Stach Chróścielewski, kopali grób w zmarzłej ziemi na wielkim cmentarzu kwitkowskim, zajmującym całe zbocze góry, inni strugali ogromny krzyż i wyrzynali na desce imię i nazwisko zmarłej. 20 maja był pogrzeb. Wziął w niej udział cały posiołek: dzieci i dorośli. Prowadziłam 4-letnią Ewę, Hania była w szpitalu, Jadwinia miała 8 miesięcy. Modliłam się nad grobem, krótko przemówiłam i czytałam wiersze Heli o Polsce. Usypaliśmy mogiłę, wtknęliśmy krzyż i świerkowe gałądź, odeszli z płaczem. Pamiętam z powrotnej drogi krwawą zorzę i niepokalanie biały śnieg. I była narada, nas Polaków, co robić z dziećmi. Wiele osób chciało zabrać po jednym dziecku. Nawet Rosjanki, które dzieci kochają, chciały je zabrać. Ja jedna powiedziałam, żeby dzieci nie rozdzielać, że zajmą się trójką dzieci. Dzieci zostały mi oddane, raczej ja sprowadziłam się do ich kajuty

jako ciocia, tak mnie nazywały. Staralam się niczego nie zmieniać. Zamieszkała ze mną Irena Młodzianowska, do której dzieci były przywiązane. Irenka знаła najlepiej, jak dzieci chować, miała dużą praktykę przy dzieciach Heli i przy swoich siostrach i braciach. Ja zaś zastrzegłam, że będą się radzić Hani Chróścielewskiej, a wszyscy nie mogą mi rozkazywać, bo tego nie wytrzymam. Chyba p. Jarzębowicz napisał do męża Heli o jej śmierci i o tym, że dzieci są pod moją opieką. Kobiety trochę mnie podpatrywały, trochę rozczuły się nad sierotkami, ale potem dały spokój, bo życie potoczyło się swoim nurtem.

Pracowałam tylko w 1 klasie, resztę czasu poświęcałam nowemu memu domowi, liczącemu 5 osób: 2 starszych (Irena Młodzianowska zamieszkała z nami) i troje dzieci. Miałam jakby 3 odrębne prace: 1/ nauczanie w szkole, 2/ wychowanie dzieci 3/ prowadzenie domu. Dwa pierwsze nie przedstawiały dla mnie specjalnej trudności, o trzeciej nie miałam pojęcia, w warunkach syberyjskich musiałam powoli uczyć się od a i b. Podstawową rzeczą było ciepło w baraku. Naśladując Rosjanki i Ukrainki, przed mrozami obrzucałam barak ziemią wysoko aż po okna. Obtykałam go mchem, a więc wszystkie szpary oraz okna. Spałam z dziećmi na pryczy, najstarsza Hania od ściany, potem Ewa, malutka Jadwinia i ja od brzegu. Jak bałam się, że przez nieuwagę zgniotę dziecko. Miałam jednak sen bardzo lekki, czułam każde poruszenie dziecka, każde ich odkrycie. Przykrywaliśmy się dużą pierzyną, którą Hela wzięła z leśniczówki. Wywieźli ją samą z małą córeczką Hanią. Mąż był chyba w lesie. Gdy wrócił i dowiedział się, że rodzina w pościagu, sam dobrowolnie dołączył się do niej. Tak było w czasie mrozów. Gdy było cieplej i w lecie, 2 starsze dziewczynki spały w łóżeczku - kolebce, ja z Jadwinią i Irenka sama. Jadwinia zarzucała mi rączkę na szyję i przytulona ufnie do mnie spała. Przywiązałam się bardzo do tej najmłodszej.

Piec - kuchnia stał na środku. Gdy włożyłam dość dużo drzewa, ogrzewał kajutę. W tegie mrozy trzeba było palić całą noc - inaczej mróz wkraczał, woda zamarzała w wiadrach. Wiele drzewa spaliliśmy. A jak zdobywałam drzewo? Czasami "wozaki" podrzucili kłoc z pobliskiej birzy, ale to było zabronione. Wolno było ściąć drzewo w tajdze i je przywieźć, ale tego nikt z nas nie czynił. Mowy nie było spuszczać drzewa wśród metrowego czy dwumetrowego śniegu, nie było też czym wieźć go z lasu. Pozostawała konieczna kradzież. Kradliśmy ze stosów drzewa, które ustawili więźniowie. A ja dopuszczałam się jeszcze gorszej kradzieży. Wypatrywałam dobre, średnie kłoc przed

piekarnią lub jadalnią i w nocy szłam z piłą i sankami. Trzeba było odpiłować kawał kłoca i na sankach przewieźć do domu, w ciągu zaś dnia podzielić na małe części i porąbać. W piłowaniu dzielnie pomagała mi Irenka Młodzianowska. Rąbałam zaś ja sama. Bardzo lubiłam i do dziś lubię rąbać. Gdy drzewo było twarde, trzeba było klinować. Konieczna ta robota dla zdrowia była bardzo pożyteczna. Nie raz parogodzinna gimnastyka na świeżym powietrzu dawała zdrowie. Powietrze Syberii jest bardzo zdrowe, zawiera dużo ozonu. Ludzie chorzy na gruźlicę wyzdrowieli, oddychając tym powietrzem. I mrozy, choć wielkie, nie są straszne dla zdrowia. Mrozy te są bez wiatru i bez wilgoci. Ponieważ nie mieliśmy walonek, chodziliśmy w botkach uszytych z wełnianych skrawków. Kobiety mniej pomysłowe, po prostu owijały nogi gałganami. I było ciepło, bo nogi były suche.

Wyposażenie mieszkania było skąpe: prycze, pod nimi walizki na bieliznę i ubrania, 1 skrzynka, stół i krzesła, wysoko 2 półki, na nich książki i ważne papiery. Dzieciom nie wolno było ruszać półek. Przyległa kajuta, mniejsza, też należała do nas. Była podzielona na 3 części: w środku korytarz, z jednej strony kuchnia, mająca stół i półkę na kilka garnków, talerzy i garnuszków. Tam też stały nasze zapasy. Z drugiej strony korytarza była malutka kajutka z 1 pryczą - spał tam p. Dorywalski, gdy przyjechał do nas.

Cośmy jedli? Zupę, jak wszyscy. Najczęściej była czeremsza, tzn. zupa z kiszzonego czosnku. Zupę tę przynosiłam z jadalni, dodawałam ziemniaków i trochę oleju. Tę zupę jedliśmy w południe i wieczorem. Zupy było dużo, ale zupa już nam zbrzydła. Tęskniliśmy do gęstego pożywnej jedzenia. Rano jedliśmy chleb z herbatą, to znaczy barwioną wodę. Jadwinia była karmiona piersią i Jadwinia przeszła na jedzenie dorosłych. Komendant posiołka, wzruszony jej losem wyznaczył jej pół litra mleka dziennie. Niech będzie stokrotnie wynagrodzony za ten wielkoduszny gest. Jadwinia piła mleko, krasila nim kartofle czy kaszkę manną. Tylko parę łyżek mleka dostawały starsze dziewczynki. W niedzielę były ziemniaki na sucho albo z przysmażoną cebulą (cebula rosła w tajdze), albo z kwasną, niegotowaną kapustą. Dzieci bardzo lubiły niedzielę - i to inne jedzenie i białe kołnierzyki i wspólną modlitwę, która za mną przyszła i do ich baraku.

Pamiętam taką rozmowę z Ewą: Ciociu, kiedy będzie niedziela? Już niedługo, ale czemu tak czekasz na niedzielę? Bo będą kartofle na sucho. Mialiśmy chleba w nie wystarczającej ilości. Na dziecko przypadało 100 g, a dziecko chciało o wiele więcej chleba. Trzeba więc było radzić. Jadliśmy więc różnego rodzaju placki pieczone na blasze.

Latem, za przykładem Rosjanek, jadłyśmy korzenie niektórych kwiatów i ziół. Nigdy nie zapomnę placeków z kartofli, które przez zimowały na polu. Wiosną można było je wydobywać. Kopałam prawie cały dzień kartoflisko i nazbierałam prawie całe... wiadro. Po dokładnym wymyciu i odrzuceniu zgniłych, zostały trochę nadgniłe i zmączkałe. Te tarkowałyśmy, przyprawiałyśmy mocno cebulą i solą i piekły. Taki placek miał tę zaletę, że przez parę dni kazał pamiętać o sobie i że odbierał apetyt. Naturalnie tych placeków nie dawałam dzieciom. A potem zaczęły przychodzić paczki od ojca dzieci, Władysława Dorywalskiego. Paczki były nieszczęśliwe, jakieś prześcieradła, jakieś fartuchy lekarskie, mydło, herbata, kasze. Usprawiedliwiał się Dorywalski, że nie umierał, że bierze to, co inni rzucają. Nie miałam mu za złe, ja też nie umiem kraść, rabować. A pamiętał o nas, a każda szmatka na Syberii jest bezcenna. Znow więc miałam szmaty na makę, mogłam dać ulubioną zupę z zacierkami, mogłam upiec placuszki z maki. Placeki te były pyszne, słodkawe, z grubej pszennej maki. Zaś z fartuchów lekarskich, które były białe i miękkie, a w wodzie twardniały i żółkły, uszyłam 3 dziewczynkom śliczne sukienki (był to jakiś ersatz, prawdopodobnie drewno).

Przy końcu chyba 1945 r. przyszły dary od Związku Patriotów Polskich, tylko 1 raz. Ale co to były za dary? Zupełnie różne od dawnych z Ambasady Polskiej. Żywności bardzo mało, rzeczy zniszczone i brudne, jednym słowem wymienione. Ale nasza sytuacja materialna z biegiem lat znacznie się poprawiła. Nuczyliśmy się sobie radzić. Przede wszystkim zadbaliśmy o ziemniaki. Sadziliśmy je na nowiznie, kto mógł, zabrał ją lub motyką skopał. Mój kawał roli zaorano. Motyką wsadziłam w ten kawałek ziemniaków, po 1 oczku. Wsadziłam, doskonale pamiętam, około św. Jana, to znaczy w drugiej połowie czerwca. Ziemniaki rosły 2 miesiące, 2 gorące miesiące: lipiec i sierpień. Z początkiem ~~wrzesnia~~ września trzeba szybko kopać, bo z początkiem września spada śnieg. Zima nadchodzi szybko, zdradziecko jak wiosna. Kopałam te moje ziemniaki. Pod każdym krzakiem 5, 8 a nawet i więcej wielkich, dorodnych bulw. Zbierałam te moje ziemniaki i nosiłam w worze na plecach do domu. Wykopałam też dla nich piwnicę. Piwnica była na środku kajuty, zasłaniana deską, niedaleko pieca, na 2 metry głęboka, szeroka, wyścielona słomą. Z piwnicy tej byłam dumna jak paw. Gdy wyjeżdżałam z Kwitka w marcu 1946 r. miałam bardzo dużo kartofli, sprzedawałam je nawet Ukrainkom. Z jarzyn nic nie dało się uchronić, sadziliśmy i marchew i ogórki. Kapusta rodziła, ale w kołchozach i państwowych gospodarstwach rolnych. Po namyśle i po naradzie postanowiłam kapus-

tę ukraść. Nie wysłałam Irenki, za to groziło więzienie. Nigdy nie zapomnę moich kapuścianych wypraw. Noc srebrna, jasna, widno jak w dzień. Idę z workiem, czekam, aż stróż przejdzie na drugi kraniec pola. Szybko porywam 4 - 5 głów kapusty, zarzucam wór na plecy i oddalam się. Kapusta "krzyczy" - wydaje taki chrzęst, że wszyscy wiedzą, co niosą w worku. Pot spływa z czoła, zdyszana, zgorączkowana dobiegam naszych polskich baraków, modląc się gorąco, abym nie wpadła na złego człowieka. Jakoś nie wpadłam, choć chodziłam kilkakrotnie. Musiałam uszatковать dużą beczkę. Szatkowałam rękami, krając nożem. Mistrzynią w tej robocie była matka Ireny, p. Młodzianowska. Chyba piękniej kroiła niż szatkownica. Ona pomogła mi zakwasić kapustę - robiłam to pierwszy raz w życiu. Z zapasów mieliśmy jeszcze suszone jagody (czarne jagody) i suszone grzyby. Czasami w jadłodajni dawano nam ryby.

Porządek dnia był następujący. Dzieci budziły się wcześnie, około 5-tej. Jeszcze zaspane, jeszcze nie otwały oczu, a już wszystkie trzy wołały: chlebka! Musiałam mieć chleb, choć skórki chleba na początek dnia. Dzieci bawiły się w łóżku, ja szłam na zakupy. Potem śniadanie. Po śniadaniu praca w szkole. Ja szłam do szkoły i Hania, uczennica I klasy. Dwie młodsze dziewczynki zostawały w domu pod opieką Irenki, która gotowała obiad, tzn. zupeł. W południe obiad, po obiedzie drzewo - dzieci bawiły się, Hania z nimi po odrobieniu lekcji. Wieczorem kolacja, mycie, pacierz i piosenki przed spaniem. Nie raz mówiłam bajki, ale najczęściej śpiewałam. Wiedziałam, że wieczór jest dzieci, że mają do niego prawo. Śpiewaliśmy też razem różne pieśni ludowe, harcerskie, żołnierskie, patriotyczne. Jadwinia, zanim zaczęła mówić, już śpiewała. Ze zdumieniem usłyszałam w dziecinnym gaworzeniu znaną melodię. Gdy dzieci usnęły, zaczynała się nasza noc, to znaczy moja i Irenki. Irenka obierała pełne wiadro ziemniaków na następny dzień, oporządkowała swą odzież, odwiedzała matkę i koleżanki, brała udział w świetlicy, która stanowiła kurs ponadpodstawowy. Już w Polsce na podstawie ukończenia tego kursu zapisałam Irenkę na kurs wychowawczyń przedszkoli. Ja zaś przygotowywałam lekcje i uprawiałam "życie towarzyskie". Znowu zbieraliśmy się razem, znowu dyskutowali, a coraz bliższą była Polska, bo coraz bliższą była klęska Niemiec.

Napiszę jeszcze o "moich dzieciach"m Mogłam sprawdzić na nich, że każdy człowiek jest inny. Hania, najładniejsza, najzdolniejsza, miała brzydką wadę - kłamała. Jak Irenka mówiła, kłamała też i matce. Wiele razy przyłapałam ją na kłamstwie. Jednego razu za wielkie kłamstwo - nabiłam.

Ale Hania nie przestała kłamać, a ja tak się zdenerwowałam, że spać nie mogłam i przyrzekłam sobie, że sieroty więcej nie uderzę. I nie wiem dlaczego Hania kłamała. To nie była bujna fantazja, to nie był lęk przed karą, to była raczej rozmyślna sztuka bardzo niewinnej buzi i spokojnych szarych oczach. A rodzice nie byli zdolni do kłamstwa, uczciwi, rzetelni ludzie. Ewa była bardzo obowiązkowa, dokładna. Mogłam jej zaufać. Gdy Ireny nie było w domu, a musiała wyjść, sadzałam Ewę przy Jadwinie i nakazywałam: Chocia musi wyjść, prędko wróci, a ty popilnujesz siostrzyczkę. I Ewa pilnowała, wkładałam, że nie ruszy się z miejsca przejęta swoją rolą. A o nią głównie chodziło, nie o Jadwinę, która jeszcze nie chodziła, Jadwinia była najmilsza, podobna do Heli. Całymi godzinami bawiła się rączkami, łyżką czy chusteczką. Nie miałam doświadczenia, nie wiedziałam, że takie dziecko spokojne jest chore. Dopiero gdy Jadwinia nie mogła chodzić, stwierdzono u niej krzywicę. Od początku nie miała potrzebnych witamin - a kto je na posiołku miał? Za poradą lekarza opalałam ją na słońcu, kąpałam w różnych ziołach. Dzieci szkolne zbierały zioła, ja suszyłam je i robiłam pachnące kąpiele. Gdy wracałyśmy w marcu 1946 Jadwinia miała 2 i pół roku i dopiero uczyła się chodzić na swoich krzywych nóżkach. W Polsce odwiedziłam ją na kolonii w Olecku. Jaką radość czułam, gdy wyszła do mnie dziewczynka o prościutkich nogach. Pozwoliłam się dzieciom bawić: rysowały, budowały z klocków, urządziły przedstawienia. Szczególnie w niedzielę popołudniu były ich występy. Przebierały się, odtwarzały widziane i niewidziane role. Pamiętam taką scenę: Jadwinia z niebieskimi oczami siedzi, nad nią wykrzywiona Ewa w jakiejś powłoczce. I ku zdumieniu słyszę wiersz z "Lilii Wenedy": Będziesz mi tu, jak płaczka była?

Czasami wojowałam z dziećmi. Szczególnie gniewałam się za tuczyzny. Dzieci paliły drzazgi sosnowe, cieszyły się, że jasno świecą, a ja truchlałam, że puszcza z dynem cały barak. Wymyśliłam karę - stanie przy kuferku. Najpierw wytłumaczyłam, że jest wielki wstyd stać przy kuferku, potem ukarałam. Hania i Ewa cierpiały z godnością, ale Jadwinia wrzeszczała, jakby podłoga ją piekła. Naturalnie, że często nie karałam, ale musiała być jakaś kara. A z Ewą było tak: Takim przyszłam do dzieci, Ewa moczyła łóżko. Podobno matka chciała ją odzwyczaić, jednak nie potrafiła. Sudziłam dzieci i wysadzałam je kilka razy w nocy. Mimo tego, rzadko się zdarzało, aby łóżko Ewy było suche. Wiedziałam, że trzeba obmyśleć taką karę, aby dziecko się nią przejęło. I wymyśliłam. Jednego razu powiedziałam, że nie będę suszyć pościeli, bo wstyd mi już głowę przykryć. Ewa musi sama to robić. Dałam 4-letniemu dziecku (zaprane) przedcieradko, dałam

oddzielnie poduszkę, a materac dźwigałyśmy razem. Podawałam p. Wyszową, która mieszkała w tym samym baraku, żeby wychodziła za każdym razem i pytała Ewę, czego ty suszysz prześcieradło? Co się stało? Może ty je w nocy zaoczyłaś? Jak Ewa uciekała od tych pytań, jakie miała rumieńce na buzi. Dokładnie pamiętam jej wstyd, jej przeżycia. Te sceny powtórzyłam kilkakrotnie i Ewa za resztą moczyć różko.

W barakach były pluskwy i gryzły niemilosłernie. Walczyliśmy z nimi, szczególnie w lecie, kiedy temperatura dochodziła do $+ 40^{\circ} \text{C}$. Azja ma klimat kontynentalny, to znaczy zimne zimy i gorące lata. ~~Temperatura~~ Różnica temperatury między dniem a nocą; w dzień upał, nocą taki chłód, że trzeba nosić kufajki (watowane kurtki). Nie mogłyśmy pluskwom dać rady żadnym posiadanym płynem. Jak przykro mi było patrzeć na pokąsane dzieci. Wreszcie stosowałyśmy tylko taki sposób: stawialiśmy nogi pryzm w puszkach blaszanych, przez wodę pluskwy nie przechodziły. Ale spadały ze ścian i sufitu, choć w mniejszej ilości. Najwięcej mnie gryzły. Powiadają, że kto ma słodką krew, do tego pluskwy ciągną. Muszę mieć bardzo słodką krew, bo ciągnie do mnie wszelkie robactwo. Walczyłam też ze wszami. Trzeba było często przeglądać ubrania, głowy. Zawsze w nich (choć po długich poszukiwaniach) znalazłam robactwo. A cóżby było, gdyby tak nie przeglądać? Zjadłyby nas waszy.

Na głowie Hani zauważyłam jakiś grzybek. Przy myciu schodził, zostawała czerwona plama i znów powstawał. Smarowałam różnymi maściami, nie zginął. Przyjechała z nim do Polski. Był to jakiś bardzo złośliwy grzybek, który zginął dopiero pod odpowiednimi lampami w Poznaniu. Nie wiem skąd go Hania złapała, nie przypominam sobie, aby ktoś go miał. Gdy były proszki i mydła, można było higienę utrzymać, ale były okresy, gdy mydła było mało i pamiętam długi okres, że byłyśmy bez mydła. Wtedy prałyśmy i gotowałyśmy odzież w ługu. Zalewa się wrzącą wodą popiół z drzewa. Matka moja dolewała do pierwszego prania trochę ługu - mówiła, że jest bardzo mocny i skuteczny. Myłyśmy się tylko wodą. Jakie to było mycie? Resztki mydła chowaliśmy na niedzielę i święto. Było wielką przysługą dać mydło do obmycia i do... zwrotu. Analogicznie przeżyłam okres bez soli. Jak trudno było jeść nieposolone potrawy! Po takich doświadczeniach ułożyłam spis najważniejszych rzeczy dla człowieka: powietrze, ciepłe mieszkanie, odzież, jedzenie (chleb, sól, woda), mydło.

W okresie, gdy chowałam dzieci, były głosowania do rad narodowych. Polacy też głosowali. Zapomniałam napisać, że w krótkim czasie, gdy zamknięto szkołę podległą Ambasadzie Polskiej, wręczono nam przymusowo obywatelstwo radzieckie. To był straszny moment. Zawsze byliśmy obywatelami polskimi, nagle przyjmujemy "dobrowolnie" obywatelstwo rosyjskie. Opiszę tę dobrowolność. Wezwano w nocy kilka wielodzietnych rodzin i postawiono im ultimatum - albo przyjęcie obywatelstwa rosyjskiego albo 2 lata więzienia. Rozumiałam z Hela Dorywałską, która między innymi była w nocy na przesłuchaniu. Hela mówiła: pomyślałam o dzieciach, nie mogłam pójść do więzienia, musiałam przyjąć obywatelstwo. Ale twarz jej biała, usta same mówiły najgłośniej, jaką cenę zapłaciła. Miała wrodzoną wadę serca, za wąski otwór przy zastawkach sercowych. Tę wadę odziedziczyła i Hania. Miała pierwszą operację serca, gdy studiowała dyplomację w Warszawie. Drugą, gdy wyszła za mąż na Godlewskiego i urodziła syna Adasia. Z tej drugiej operacji już się nie obudziła. Zmarła jak jej matka około trzydziestego roku życia. Po tej dygresji, wracam do naszego posiołka. Rano wezwano wszystkich i wszyscy, idąc za wzorem tych sterroryzowanych w nocy, bez oporu przyjęli obywatelstwo rosyjskie. W innych posiołkach, np. w Tajszece, byli ludzie co nie przyjęli tego obywatelstwa, odsiedzieli karę, a gdy wychodzili z więzienia, wręczono im ... obywatelstwo rosyjskie. Cała ich kara i męka była próżna. Dobrze, żeśmy nie buntowali się, nie protestowali. W tym kraju nie ma nie tylko praworządności, ale zasad prostej logiki.

Gdy armia radziecka pędziła Niemców na zachód, zaczęli na Kwitek napływać nowi goście. Przybył transport ludzi z Leningradu, który był obłączony, wreszcie po wielu miesiącach wolny. Ludzi ci, zaizolowani doszczętnie, opowiadali o dantejskich scenach rozgrywanych w Leningradzie. Był tam głód, straszny głód, choroby i ... ludobójstwo. Te strzępy ludzkie zamieszkały niedaleko nas i pomalu dochodziły do siebie w zdrowym syberyjskim powietrzu. Po pewnym czasie ze wschodu, z frontu wschodniego przybyli jeńcy wojenni, Japończycy. Byli w obozie, regulamin w nim był wojskowy, pracowali w lesie. Jak oni marli! Nie byli przyzwyczajeni do mrozów, mieli lekkie wojskowe płaszcze. Nie byli przyzwyczajeni do syberyjskiego jedzenia, nie smakował im chleb, który zawiłali w białą szmatkę. Podobno Japonia dała swoim obywatelom wielkie zapasy maki kukurydzianej, ryżu, oleju. Cóż z tego? Te zapasy zostały rozkradzione. Handlowali nimi żołnierze rosyjscy. Za butelką gorzałki można było dostać wiadro ryżu czy oleju. Pamiętam, jak w nocy ktoś zapukał do okna. Podeszłam, za oknem czerwono-

armiejeec, podnosi wiadro, pokazuje. Potrząsnęłam głową, nie miałam wódki. Kupowałam i ja, ale z drugiej ręki, to znaczy od Polaków. Miałam i ryż i olej i płaszcze japońskie. Nawet taki płaszcz przywiozłam do Polski. Ale mam zawsze wyrzut sumienia, że obdarłam biednych Japończyków. Na nic zdało się tłumaczenie, że jeśli nie ja, to ktoś inny wziąłby te rzeczy.

Jednego razu wieczorem, gdy dzieci spały a ja z Irenką obierałam ziemniaki, wtargnął do kajuty czerwonoarmiejeec. Gdy podniosłam wzrok, zobaczyłam broń wymierzoną we mnie, obłąkane - pijane oczy i usłyszałam groźny szept: gdzie jest Marusia? Bardzo spokojnie zaczęłam tłumaczyć, że nie ma Marysi. Żołnierz nie uwierzył, groził mi rozstrzelaniem. Mogło to być prawdą, nawet niebaczny ruch palca i będzie po mnie. Z pomocą pospieszył p. Wiszowaty. Chciał zabrać żołnierza, ale on się rozłościł, wymierzył broń do p. Wiszowskiego, który pomалу wycofał się. Było mi nieprzyjemnie. Obawiałam się, że pobudzi dzieci, obawiałam się o Irenkę, że może zapomnieć o Marusi, a afekt skierować na dziewczynę obok siedzącą. Powiedziałam, że będę z nim szukać Marusi. Schylałam się pod stół i pryce, wchodziłam do wszystkich pomieszczeń. Żołnierz też szukał, najważniejsze, że się nie złościł, że schował broń. Potem zapytałam, czy Marusia miała białą chustkę, on potwierdził. Zapewniłam go, że widziałam Marusię, jak biegła w stronę piekarni. Potem zaczęłam go chwalić, jaki on waleczny, jakie ma order. Jak przyjaciela wyprowadziłam go z baraku, pokazałam drogę, którą biegła Marusia. Stała chwilę, zamknęłam drzwi razem z p. Wiszowatym.

Chęćkie były chwile z Japończykami, nie mogliśmy się porozumieć. Gdyśmy się spotykali, uśmiechaliśmy się przyjaźnie, podnosili zaciśniętą dłoń i mówili Rus. Na Kwitku widziałam po raz pierwszy i ostatni w życiu, jak ziemię orali ludzi. Zaprzęgano Japończyków i oni orali syberyjską ziemię.

W maju 1945 r. przyszła wieść o zwycięstwie, o zajęciu Berlina, o końcu wojny. Jak ludzie się cieszyli. Wzmogła się nasza tęsknota i chęć powrotu. Po pewnym czasie przywiziono na Kwitek nowych ludzi, rosyjskich ludzi. Byli wściekli, oburzeni, bez ratunku od nich samych, znamy ich historię. Byli to żołnierze, którzy dostali się do niewoli niemieckiej. Oswobodzeni przez armię aliantów, kilka miesięcy przebywali w Belgii. Pracowali, pokupili prezenty, upominali się o wyjazd do Rosji, do rodzin. Wreszcie za staraniem ambasady rosyjskiej odjechali z prezentami, z zaoszczędzonymi pieniędzmi. Na granicy odebrano im wszystko, załadowano na pociąg i zawieziono na ... Syberię. Za duże wiedzieli, za dobrze poznali Zachód. Któż opisze

tragedię tych ludzi, dobrowolnie wracających do Ojczyzny. Odjechaliśmy w marcu 1946 r. - oni pozostali. Przy ciężkiej pracy w tajdze, szybko się wykończyli.

Przyjeżdżały do nas częste wizytacje z Irkucka. Wizytowali szkołę, prowadzili zebrania, zachwalając nową Polskę. Byli to członkowie Związku Patriotów Polskich, niektórzy Żydzie, jednego dobrze zapamiętałam, p. Warszawskiego. Modłę się za niego, bo mu dużo zawdzięczam. Polacy słuchali w milczeniu, jedna ich tylko interesowała rzecz: kiedy wrócimy do Polski. Jeden z prelegentów przeholował, zaczął nam opowiadać, jakie będą kołchozy i jacy w nich będziemy szczęśliwi. Polacy, jak zawsze słuchali, ale każdy wychodząc, spluwał ostentacyjnie. Przecież chcieli wrócić do Ojczyzny, do swoich gospodarstw. Kołchozy już widzieli w Rosji i zabójczą pracę, brak podstawowych rzeczy i przymusowe kradzieże. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że ten prelegent, tak pewny siebie, tak traktujący nas z wysoką, jest aresztowany. Przekroczył swoje uprawnienia, mówił o kołchozach z własnej inicjatywy. Rosjanie byli na tyle mądrzy, że nie kołchozami wabili, ale parcelacją wielkich majątków. Przywozili też książki - podręczniki wydane w Rosji. Na własne oczy czytałam w podręczniku historycznym, że Żółkiewski był pijakiem, że całą zasługą króla Jana Sobieskiego było to, że zbudował Wilanów. Dobrze, że dzieci nie dostały tych podręczników. Uczyliśmy dalej tak, jak umieliśmy. Pamiętam wizytację w mojej klasie, miałam język polski. Gdy weszła wizytacja, zorientowałam się, że nie zabrałam książki. Była druga w klasie, ale inna. Wskazałam na jakiś ustęp i powiedziałam, że go przerabiam. Ale się wtenczas nagimnastykowałam - musiałam czytać, wyjaśniać, robić plan zupełnie nieznaney mi opowiadki. Jakoś wybrnęłam, a pisanie na deskach zrobiło swoje oraz wiersze i pieśni bardzo patriotyczne bardzo się podobały. Dostałam dobrą ocenę - mam wrażenie przez niekwalifikowanych nauczycieli, xho

Od maja 1945 żyliśmy już tylko powrotem, a narazie nie na niego nie wskazywało. Gdyśmy w czerwcu sadzili ziemniaki, zamiast przyjemnych życzeń, mówiliśmy jeden drugiemu: abyśmy ich tutaj nie kopali. Zimą 1946 r. przyszło zarządzenie: spisać Polaków i ich dokumenty. Dokumentem w opinii rosyjskiej jest każdy papier opatrzony pieczęcią. Inteligencja kwitkowska zaprała się do pracy. Nauczyciele, inżynierowie i leśnicy zamieszkali w sali szkolnej i tłumaczyli dokumenty na język rosyjski. A dokumenty były różne: kościelne po łacinie, białorusku, ukraińsku a nawet litewsku, rozmaitych władz i urzędów Rzeczypospolitej międzywojennej. Tłumaczyliśmy dzień i noc, bo zdawaliś-

my sobie sprawę, że od naszej pracy zależy szybkość wyjazdu do Polski. A Polaków w Rosji było mnóstwo. Pracowaliśmy około 2 tygodnie, jedzenie nam donoszono, spaliśmy po kilka godzin na zmianę. Potem dowiedzieliśmy się, że Kwitek dostarczył najlepsze spisy i najlepiej opracowane. Od oddania spisów żyliśmy jak w gorączce. Najwięcej biegał nasz przedstawiciel p. Jarzębowicz. Wreszcie dostał powiadomienie, że wyjedziemy z końcem lutego - początek marca. Co się wtedy działo! Przygotowywaliśmy się do podróży, ale na dnie serca było niedowierzanie. Czyż można było Rosjanom uwierzyć, że chcą nas po 6 latach zwrócić i to! nas, cośmy przeżyliśmy ten okres w tak trudnych warunkach, cośmy widzieli głąb Azji? Ale od czego jest instrukcja? Wszystko odbywało się według mądrze obmyślanej instrukcji. Za głośne były nasze wywozy. Rząd Radziecki dogadał się ze Związkiem Patriotów Polskich, że ewakuował przed Niemcami 300.000 obywateli polskich i podpisał umowę, że wobec powstania Polski Ludowej 300.000 obywateli polskich wróci do Polski, pełnych wdzięczności za ewakuację. I znów były zebrania, na których tłumaczono nam, że dzięki Rosji uniknęliśmy Niemców. Potem dano nam gotowy formularz, który należało przepisać i podpisać. Formularz zaczynał się od słów: Ja... (imię i nazwisko), ewakuowany/a/ przed Niemcem, proszę o zorganizowanie podróży do Polski... Naturalnie wszyscy przepisaliśmy ten formularz i wszyscy zapisaliśmy się do Związku Patriotów Polskich. Wy tłumaczono nam, że tylko w ramach tego Związku możemy wrócić do Ojczyzny. Repatracją byli objęci tylko obywatele narodowości polskiej, a między nami żyli i Ukraińcy i Białorusini. Pamiętam jedną leśniczynę, Białorusinkę, bardzo niezaradną. Miała córkę Kalinkę, którą uczyłam. Gdyby nie nasza pomoc, przepadły by obydwie. Zupełnie nie umiały żyć w syberyjskich warunkach, to znaczy starać się o drzewo, palić, starać się o żywność, walczyć z robactwem. Tak bardzo żał mi było Kalinki, a wiedziałam, że ona nie pojedzie, że zostanie na Syberii. Przysły dokładniejsze zarządzenia: jak mamy żegnać władze radzieckie, jakie transparenty ma mieć pociąg, jaki ma być komitet wyjazdowy pomocny komendantowi eszatonu - pociągu.

W pierwszych dniach marca 1946 r. został podstawiony pocągna naszą birżę, cały oszroniony - było - 30° C, towarowy. W każdym wagonie miały pomieścić się 4 rodziny, w 4 rogach były prycze. Były też piecyki, a nasi mężczyźni wmontowali płyty kuchenne, napewno krazione. Cóż mieli robić, jak czekała nas wielodniowa podróż, a byli małe dzieci. Pociąg stał, a my przygotowywałyśmy pożegnalną akademię według instrukcji. Miała dwie części: 1/ zebranie, w którym najważ-

niejszym punktem było podziękowanie ze strony Polaków, 2/ część artystyczna z dwoma hymnami. Na zakończenie muzyka, tańce i jedzenie. Opiszę wszystko dokładnie. Nie mogliśmy znaleźć człowieka, który by dziękował Rosji za 6 lat ewakuacji. Szukaliśmy kogoś godnego. Potem przyszła myśl, że wystarczy robotnik polski, a dużo naszych uczniów pracowało przy zwózce drzewa, przy koniach w gospodarstwie. Namówiłam jednego, dałam mu tekst ułożony przez nas. Było podziękowanie, ale nie czołobitne, było dużo słów o wspólnej walce z Niemcami. Namówiony chłopak zgodził się przeczytać i wznieść okrzyk na cześć Rosji i Polski. Powiedział do mnie: mogę powiedzieć, przecież już jedziemy do Polski. Wzruszył nas ten chłopak. Część artystyczną ja prowadziłam. Zaczęło się od hymnów: polskiego i rosyjskiego, a potem były wiersze, pieśni i inscenizacje. Przeważał motyw wojenny, ale było i o pracy, o wielkiej pracy, która nas czeka. Ślicznie mówiliśmy zbiorowo, chyba wszyscy umieli wiersz Marii Konopnickiej - "Pan Balcer w Brazylii" - Idziem do ciebie, Polsko... powracające od lat twoje syny... Co do przyjęcia, składało się z jakichś ryb, chleba i większej ilości wódki. Naturalnie naczelnicy skupili się przy niej, niektórzy Polacy poświęcili się i zaczęła się pijatyka na całego. Jakiś młodzieniec zaczął przygrywać na harmonii, ale nikt do tańca się nie ruszył. Polacy zachowali swą godność, my kobiety jedna za drugą opuszczałyśmy zebranie i śpieszyłyśmy do domów. Ja byłam głową rodziny, do mnie dopisano 3 dzieci i to bez nazwiska Dorywalskie, Irena była w swojej rodzinie, choć obiecała mi w drodze jechać ze mną i mi pomagać. W styczniu przyjechał do nas ojciec dzieci, Władysław Dorywalski. Był żołnierzem Armii Kościuszkowskiej, przeszedł cały szlak bojowy Oka - Berlin. Dużo o wojnie opowiadał, a że był doskonałym gawędziarzem, wieczorem przychodzili goście i czas szybko uciekał. Gdyśmy odjeżdżaliśmy p. Dorywalskiego nie puszczono z nami, został na peronie wraz z Ukraińcami i Białorusinami. Jaką ciężką miał chwilę, gdy jego dzieci z obcą osobą odjeżdżały. Ale godził się z tym, bo jechały do Polski. P. Dorywalski dopiero po 3 miesiącach wrócił do Suwałk, ale go nie widziałam. Odwiedziłam jego dom po paru latach, gdy już się ożenił. Byłam też u niego w szpitalu warszawskim, gdy miał 2 nogi ucięte (choroba Birgera) i na jego pogrzebie w Suwałkach. Tak mię los złączył z tą rodziną. Myślę, że tą pamięcią odwdzięczyłam się za serce, jakie okazano mi, najnędzniejszej z nędznych, na Kwitku w 1942 r.

Wrzuciliśmy nasze rzeczy do wagonów, jechałam zazem z Chróściewiczami, z Młodzianowskimi, czwartej rodziny nie pamiętam. Na wagonny dano wielkie napisy, przywieziono je gotowe, dobrze żeśmy ich nie

robili Doskonale pamiętam niektóre teksty, np: Dziękujemy za gościnność! Dzieci dziękują za radosne dzieciństwo! Niech żyje wieczna przyjaźń między narodem polskim i rosyjskim itd. Z tymi napisami jechaliśmy przez całą Rosję, zerwaliśmy je dopiero na pierwszej polskiej stacji. Prowadził pociąg komendant rosyjski i podlegli mu żołnierze. Przed ruszeniem pociągu skupulatnie zrewidowali wszystko, głównie chodziło o ludzi, aby żaden obywatel nie uciekł z raju sowieckiego. Z polskiej strony były 3 osoby: Jarzenowicz, leśniczyna, która pracowała w kancelarii i jakiś jeszcze mężczyzna. Mężczyźni poświęcali się i popijali z komendantem, ja też postawiła jeden raz kolejkę, jeszcze na Kwitku. Inaczej nie można było.

4 czy 5-tego marca ruszyliśmy. W Tajszecie staliśmy 1 - 2 dni. Dołączono inne wagony z repatriantami. Wreszcie nasz pociąg był gotowy, liczył ponad 1000 ludzi. W Imię Boże pojechaliśmy na zachód, tą samą drogą, którą przybyliśmy. A tak śniła mi się Japonia, była bliżej nas niż Polska. Przez pewien czas myślałam o Mongolii, którą oddzielały Himalaje, ale można z niej było dostać się do Chin. Do Mongolii mieliśmy 70 km. Ludzie, dobrze znający stosunku, poinformowali nas, że Mongolia jest w przymierzu ze Związkiem Radzieckim, że wydaje mu wszystkich uciekających, a za przekroczenie granicy najniższa kara to 5 lat więzienia. Jechaliśmy do granicy polskiej 35 dni. Stanęliśmy w Brześciu nad Bugiem 13 kwietnia 1946 r. Jak wyglądała droga? Na każdej stacji, na której stanął pociąg, biegliśmy do węglarek i przynosiliśmy węgiel, ile zdołaliśmy złapać, Jakoś węgla starczyło. To samo było z wodą. Codziennie dostawaliśmy jedzenie: chleb, margarynę, ryby, a w części europejskiej konserwy rybnej. Jedzenie wzrastało, apetyt malał, dlatego rosły nasze zapasy żywnościowe, szczególnie konserwy. Przywieźliśmy konserwy - wobec nich, jak można było wytłumaczyć, udowodnić ludziom, że przeżyliśmy lata głodu.

W Moskwie dostaliśmy po 100 rubli na głowę i obiad z 3-ech dań. W Moskwie staliśmy 3 dni. Nie mogliśmy odchodzić, bo nikt nie wiedział, kiedy pociąg ruszy. Pierwszego dnia byliśmy w Ambasadzie Polskiej, gdzie nas przyjęto sztywno, oraz w Związku Patriotów Polskich, gdzie nas przyjęto serdeczniej. Jeździłam do tych urzędów metrem w kilka osób. Metro wspaniałe, szczególnie marmurowe dworce. Jest ich kilkanaście czy kilkadziesiąt. Na ścianach metra prosty wielki napis: Kagonał - w dniach wojny 1941 r. - I znów widziałam wysiłek nad siły tysięcy więźniów i jeńców. Metro opłacone męką i śmiercią wielu ludzi. W drodze powrotnej oglądałyśmy drogę - nie pamiętałam

jej, bo niczego nie widziałam z wagonów więziennych. Najpierw była tajga i tajga, potem stepy, bądź częste, bądź z pojedynczymi drzewami. Bardzo rzadko były stacje kolejowe, 2 - 3 razy na dobę. W wielkich miastach, a nawet w małych osadach staliśmy nieraz długo, nawet parę dni. Musieliśmy przepuszczać pociągi zaplanowane, nasz był nadzwyczajny, po prostu włókł się. Gdy stawał, załatwialiśmy się przy pociągu, mężczyźni na jedną stronę, kobiety na drugą stronę. Zapamiętałam dobrze wielki dworzec w Niżni Udińsku. Zapamiętałam Krasnojarsk na tle czerwonych gór, zapamiętałam góry Ural, przez które jechaliliśmy ukosem chyba 3 dni przez Czelabińsk. Stare góry Uralskie, przesypane śniegiem, oddzielające Europę od Azji. Wszyscy byliśmy Rosji ciekawi, tylko p. Młodzianowska nie wyjrzała ani razu. - Będę Rosję podziwiać - mówiła; ja czekam na Polskę. Rzeczywiście w Polsce na 1-szej stacji zobaczyłam ją wystrojoną w jakąś bluzkę. Dopiero teraz czuła się u siebie. P. Młodzianowską bardzo lubiłam. Zona osadnika, analfabetka, a pełna wrodzonej inteligencji. Niegdy nie popełniła żadnego nietaktu. U niej, oprócz gromady swoich dzieci, zawsze była gromada cudzych. Wszystkich ciągnęło serce i dobry uśmiech p. Młodzianowskiej.

Nie tylko p. Młodzianowska, każdy Polak i Polka mieli rzeczy do ułożenia w Polsce. Za kartofle nabyliśmy po raz pierwszy sukienki i bluzki albo u Ukraińców albo u Niemców krymskich, których również przywieziono na Kwik. Ja wymieniałam czarną spódnicę i bardzo ładną bluzkę wełnianą w dużą kratkę czerwono-czarną. W tej bluzce długo chodziłam do pracy w Polsce, bo ją lubiłam. Zresztą w Polsce powojennej nie było tak pięknych materiałów. Przed samym wyjazdem dostałam też z Wydziału Oświaty koszulkę (rubaszkę) i buciki. Koszulki były z grubego płótna, na ramiączkach. Nie uwzględniono płci p. Chroćlewskiego, dostał damską koszulkę. Zaraz włożył ją na siebie i przyglądał się jej z wielką dezaprobatą. Buciki przywiezłam do Polski. Gdy je zobaczyła moja mama, powiedziała: przydadzą mi się do ogrodu. Posyłałam, takie buty, przez 6 lat takich nie miałam, a teraz do ogrodu. Ale nic nie odpowiedziałam, przecież matka nie mogła mi krowić.

W wagonach rano i wieczorem modliliśmy się, a całym pociągiem śpiewaliśmy: Kiedy ranne wstają zorze... Wszystkie nasze codzienne sprawy... Żołnierze nie interweniowali, może nie orientowali się. Aż przyszła Moskwa. W Moskwie staliśmy na bocznych torze, ale to była Moskwa. Bałam się, że ktoś usłyszy - w Rosji nie wolno publicznie modlić się. Z drugiej strony bałam się obrazić dobrego Boga, który

jechałam do Suwałk oddać dzieci Dorywalskie babci i cioci. W Suwałkach spędziłam święta wielkanocne (był indyk i torty) i zaraz pośpieszyłam do Sycowa, koło Wrocławia, gdzie mieszkała moja matka i siostry.
